

„Rzeczą człowieka jest
walczyć, a rzeczą nieba –
dać zwycięstwo”

Zbigniew Gregorowicz – przedstawiciel
pokolenia kolumbów, niepokornych XX wieku.

autorka:
Dorota Gregorowicz

opiekun pracy:
mgr Marek Trojan

SPIS TREŚCI

Wstęp...	3
Portret bohatera pracy...	6
I DZIECIŃSTWO...	7
II OKUPACJA...	12
III DZIAŁANIA WOJENNE...	19
IV UCZELNIA I PRACA Z MŁODZIEŻĄ...	42
V ŻYCIE PUBLICZNE...	56
VI JAKO CZŁOWIEK...	63
Podsumowanie...	67
Spis źródeł...	69
Aneks...	72

WSTĘP

Niepokorny to człowiek odstający od szarej masy tłumu, nie dający się przekonać do wybrania łatwiejszej drogi czy sposobu życia. Posiada własne ideały, którymi się kieruje i dąży do ich realizowania swoim postępowaniem, nawet jeżeli jest to trudne do osiągnięcia. Moim zdaniem, wiek XX był właśnie wiekiem ludzi niepokornych - było to stulecie trudne, pełne ludzkiej nienawiści i krzywdy. Niepokorni zapisali się w historii nie dlatego, że było ich wielu, ale dlatego, że często udawało im się zmienić losy swojej rodziny, społeczności, narodu. Niepokorni – ci znani oraz ci, o których świat milczy, starali się, przynajmniej w jakimś małym stopniu, przeciwstawić się złu tego świata im współczesnego. Wiązało się to często z wystąpieniami przeciwko władzy, tradycji, czy też religii. Stanowili oni często grupę tzw. „społeczników”, działali w imię większych grup ludzkich, które nie były zdolne do samodzielnego protestu przeciwko uciskowi. Zdarzało się jednak, że oprócz tego, walczyli także ze swymi własnymi słabościami.

Praca, którą napisałam, opowiada o moim dziadku, Zbigniewie Gregorowiczu, człowieku, który według mnie, przez całe swoje życie kierował się własnymi ideami i wytrwał w nich do końca, nie poddając się przeciwnościom narzuconym przez okupanta, władzę ludową, czy własne kalectwo.

Jego historię rozpoczynam od lat międzywojennych, na które przypadło jego dzieciństwo, które zresztą okazało się bardzo krótkie, gdyż w obliczu II wojny światowej, Zbigniew Gregorowicz wstąpił do harcerstwa, a we wrześniu 1939 roku, mając 15 lat, brał udział w bohaterskiej obronie Grodna. Jego młodość to czas okupacji, spędzony w Warszawie – utrata ojca, ciężka praca dla utrzymania rodziny, tajne nauczanie, a wreszcie działalność wojskowa w Armii Krajowej – w powstaniu warszawskim i partyzantce. Wojna okaleczyła go na całe życie – w wyniku postrzelenia stracił prawą rękę. Mimo to nie poddał się, wbrew wszelkim oczekiwaniom podjął studia chemiczne, gdzie w błyskawicznym czasie zrobił karierę naukową – pozostając ciągle bezpartyjnym. W okresie PRL-u bardzo aktywnie działał społecznie oraz z młodzieżą, także w Związku Harcerstwa Polskiego, pozostając ciągle niezależnym od władzy ludowej. Wreszcie w latach 80-tych wstąpił do ruchu solidarnościowego. Będąc już starszym człowiekiem zapadł na śmiertelną chorobę, z którą przez wiele lat uporczywie walczył – działał w organizacjach kombatanckich, prowadził prelekcje dotyczące II wojny światowej w wielu szkołach. Do końca życia, to jest do 4 stycznia 1999 roku, pozostał człowiekiem bardzo aktywnym.

Tytuł pracy – „Rzeczą człowieka jest walczyć, a rzeczą nieba – dać zwycięstwo” jest cytatem z twórczości Homera. Używając go chciałam podkreślić fakt, że Zbigniew Gregorowicz, jako niepokorny, często znajdował

się w sytuacji beznadziejnej i niezależnej od niego. Mimo to, nigdy nie ugiął się i wierzył w sukces w imię słusznej sprawy.

Z zamiarem opisania historii mojego dziadka, Zbigniewa Gregorowicza, nosiłam się już od bardzo dawna. Dzięki temu, że wzięłam udział w konkursie – nadarzyła się ku temu świetna okazja. Mam nadzieję, że ta praca będzie mogła być chociaż namiastką tego, o czym marzył mój dziadek, a mianowicie o stworzeniu jego biografii, spisaniu wspomnień. W pracy przytaczam nie tylko jego własne opinie, ale także rodziny, przyjaciół i współpracowników.

Swoje działania, związane z podjęciem tematu konkursu, rozpoczęłam od przetrząśnięcia domowego archiwum. Znalazłam tu wiele ciekawych i bezcennych materiałów – mnóstwo wspomnień, pamiętników, dokumentów, odznaczeń, listów oraz wycinków z gazet. Kolejnym etapem pracy było zmobilizowanie rodziny, nie tylko tej najbliższej, do poszukiwania kolejnych informacji. W tym czasie odbywałam także rozmowy z osobami, które dobrze znały i pamiętały dziadka oraz sporo czytałam, szczególnie na temat realiów powstania warszawskiego i polskiej partyzantki. Poszukiwałam materiałów także w miejskim archiwum.

Temat konkursu z początku wydawał mi się łatwy, w porównaniu do lat ubiegłych. Szybko jednak okazało się, że poprzez swoją ogólność i szerokie ramy czasowe, jest wyjątkowo trudny do zrealizowania.

Pomysł napisania o dziadku został entuzjastycznie przyjęty przez moją rodzinę, nakłoniła mnie do tego także stosunkowo duża ilość źródeł.

Większość rozmów ze świadkami historii przeprowadziłam w swoim najbliższym środowisku. Często była to moja rodzina – dyskusje przedłużały się, schodziliśmy na inne tematy. Pisząc tą pracę miałam do czynienia głównie ze starszymi osobami, moje historyczne wywiady odbywały się najczęściej w mieszkaniach prywatnych moich rozmówców, lub też w ich zakładach pracy – przede wszystkim na Politechnice Śląskiej.

Nie spotkałam się z osobą, która wypowiadając się na temat mojego dziadka, była obojętna co do jego osoby. Większość rozmawiała o nim w sposób bardzo ciepły i entuzjastyczny, wyrażając się na jego temat z ogromnym szacunkiem. Zdarzały się jednak jednostki, które odbierały go negatywnie, a nawet w ogóle nie chciały rozmawiać na ten temat.

Rozmowy, które przeprowadzałam były z reguły bardzo długie, dowiedziałam się przy okazji o wielu rodzinnych dramatach, przywarach i ciekawostkach. Myślę, że umożliwi mi to w przyszłości stworzenie obszerniejszej pracy dotyczącej losów moich przodków. Pomimo że starałam się podchodzić do wybranego przeze mnie tematu z dystansem, bardzo osobiście przeżywałam wszystkie spotkania, kiedy rozmowa schodziła na cierpienia czasu wojny, widząc łzy na twarzach starszych ludzi, mnie samej cisnęły się one do oczu.

Bardzo doceniam pomoc swoich rozmówców, a także tych wszystkich którzy zaangażowali się w poszukiwanie wspomnień i pamiątek, potrzebnych do wykonania pracy. Pragnę im w tym miejscu bardzo gorąco podziękować. Mam nadzieję, że było warto.

Od najmłodszych lat byłam wychowywana w duchu patriotyzmu i szacunku do historii, a szczególnie do obszernej historii mojej rodziny. Jestem dumna z tego, że moi przodkowie potrafili się przeciwstawić trudnej sytuacji w jakiej się znaleźli.

Owoce kilkumiesięcznych starań stała się ta praca konkursowa. Stanowi ona przekrój poprzez całe życie Zbigniewa Gregorowicza i ukazuje jego niepokorność w różnych aspektach. Starłam się, aby zostało to przedstawione chronologicznie, lecz czasem nie było to możliwe, ze względu na liczne powiązania pomiędzy rozdziałami.

Cieszę się, że mogła powstać ta praca. Jest to historia w dużym stopniu znana mi już z dzieciństwa, opowiadana na spotkaniach rodzinnych, często wyrywkowo i chaotycznie, ale nigdy nie tak dokładnie. Myślę, że warto było to wszystko uporządkować. Nigdy wcześniej nie przypatrywałam się też osobie mojego dziadka przez pryzmat tak wielu źródeł.

Zawsze bardzo żałowałam, że w chwili śmierci mojego dziadka byłam zbyt mała, aby rozmawiać z nim o takich rzeczach, jak wojna, władza czy śmierć. Mimo to bardzo dobrze go pamiętam. Był dla mnie wzorem do naśladowania i darzyłam go ogromnym szacunkiem.



BOHATER PRACY – ZBIGNIEW GREGOROWICZ – PORTRET AUTORSTWA LWOWSKIEGO ARCHITEKTA,
FRANCISZKA MAURERA

I Dzieciństwo

„Cierpienie daje prędką dojrzałość”
Joseph Conrad

Zbigniew Gregorowicz urodził się 4 stycznia 1924 roku w Makowie Mazowieckim. Ochrzczony został w obrządku ormiańsko – katolickim.

Jego ojciec, Dominik Gregorowicz, był najmłodszym dzieckiem w wielodzietnej rodzinie, bez specjalnych koneksji pochodzeniowych. Ukończył on studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, odbywał służbę wojskową w armii austriackiej w czasie I wojny światowej, następnie brał udział w obronie Lwowa. Po odzyskaniu niepodległości, rozpoczął pracę w administracji państwowej w starostwie powiatowym w Makowie Mazowieckim.

Matka Zbigniewa Gregorowicza, Stefania Bohosiewicz, pochodziła z Bukowiny, z miasta Czerniowce. Miała ona ukończoną średnią szkołę, z językiem wykładowym niemieckim. Poślubiła ona Dominika Gregorowicza w 1919 roku.

Zbigniew Gregorowicz miał też dwie siostry – starszą, Marię, która zmarła we wczesnym dzieciństwie oraz młodszą, Jadwigę, urodzoną w 1928 roku, której wspomnienia są zawarte w tej pracy.

Warto zastanowić się, czy pochodzenie i dzieciństwo mogło mieć znaczący wpływ na życiową niepokorność Zbigniewa Gregorowicza. Rodzina Gregorowiczów mocno interesowała się sytuacją polityczną w kraju, dzieci były wychowywane w duchu głębokiego patriotyzmu. Zgadzam się z opinią mojego ojca, Marka Gregorowicza, którą wyraził, kiedy zapytałam go o to, co jego zdaniem miało wpływ na niezłomność charakteru mojego dziadka: *Wynikało to generalnie z okresu, w którym żył jako młody chłopak, tego co wyniósł z domu, czyli z wychowania przez rodziców oraz z własnych chęci i aspiracji, które zaważyły na tym, co robił. Takie główne trzy elementy – historia, rodzina i własna ambicja.*

Dzieciństwo bohatera mojej pracy przebiegało dosyć beztrzesko, aczkolwiek towarzyszyło mu surowe wychowanie przez rodziców. Zbigniew Gregorowicz uczęszczał do szkół podstawowych w Prużanie i Druskiennikach, do gimnazjum w Słonimie, gdzie mieszkał w internacie, a następnie do gimnazjum w Grodnie. Częste zmiany szkół były spowodowane ciągłymi przeprowadzkami w związku ze zmianami miejsca pracy Dominika Gregorowicza – sędziego. W szkole podstawowej, Zbigniew Gregorowicz uczył się w klasie, w której rdzenni Polacy stanowili około połowę uczniów, pozostała część byli to Białorusini, Tatarzy i Żydzi. Myślę, że przebywanie w takim środowisku uczyniło go tolerancyjnym i wrażliwym na krzywdę innych.

Zbigniew Gregorowicz został zmuszony do wkroczenia w swoje dorosłe życie bardzo szybko, bo z przyjściem roku 1939, kiedy jasnym stało się to, że Polska znajduje się w bezpośrednim obliczu wojny. W swoich wspomnieniach z tego okresu pisze: *W kraju czuło się już bardzo napiętą atmosferę w związku ze zbliżającą się wojną. W drugiej połowie sierpnia byłem w Słonimie u kolegi swego, Wojtka, gdzie spędziłem ostatnie dni beztrzeskiego lata i młodości.*

Wtedy właśnie Zbigniew Gregorowicz zaczął mocno udzielać się w harcerstwie. Zgłosił się ze swoją książeczką harcerską do grodzieńskiego szczepowego - Zbigniewa Grabowskiego. Posiadał wtedy stopień „ćwika”. *Bardzo się starałem być dobrym harcerzem – wspomina - zostałem drużynowym*

drużyny młodszo – harcerskiej w swoim gimnazjum¹. Przygotowywałem się intensywnie do akcji obozowej. Byłem wytypowany na kurs drużynowych do Supraśla koło Białegostoku, a następnie z drużyną brałem udział w Zlocie Chorągwi Wileńskiej ZHP. Kurs drużynowych zakończyłem pomyślnie i uzyskałem stopień harcerski harcerza orlego z ustępstwem wymogu posiadania 18 lat. Brakowało mi 2,5 roku. Właśnie to przyznanie mu stopnia harcerza orlego w tak młodym wieku, dawało mu ogromną radość, a jednocześnie świadczyło o jego ogromnym zaangażowaniu w działalność hufca.

W związku ze zbliżającą się wojną, równoległe z marcową mobilizacją wojska, harcerze również rozpoczęli intensywne przygotowania. *Mieliśmy moc ćwiczeń i wycieczek – wspomina Zbigniew Gregorowicz – podnosiliśmy nasze umiejętności z samarytanki, terenoznawstwa, pionierki i żeglarstwa. Bliskość Niemna dawała duże możliwości treningu na wodzie.*

W bezpośrednim obliczu wybuchu wojny, Zbigniew Gregorowicz pośpiesznie przyjechał z wakacji spędzanych w Słonimie do Grodna, co opisuje w swoich wspomnieniach: *Dzienniki radiowe i wiadomości z gazet były coraz bardziej niepokojące. Przyspieszyłem swój powrót do Grodna. Była to już trzecia dekada sierpnia.*

Została ogłoszona mobilizacja. Pociągi były przepelnione mężczyznami udającymi się z kartami mobilizacyjnymi do różnych jednostek wojskowych. Wagony były brudne. Na stacjach kolejowych panował wzmożony ruch spóźnionych rezerwistów. W Grodnie na stacji było moc wojska i patrole kobiece czerwonego krzyża.

Okazało się, że mobilizacja dotyczyła również harcerzy. *W domu zastało mnie wezwanie do stawienia się w Komendzie Hufca ZHP. Zostałem wciągnięty do harcerskiej służby pomocniczej. Harcerze służb wartowniczych otrzymali prawo przebywania na mieście po godzinie policyjnej. Zająłem z kilkoma harcerzami placówkę stanowiącą ochronę starostwa. Wybuch wojny i ogłoszenie stanu wyjątkowego przydawało tej służbie specjalne znaczenie. Służba była trzymianowa - 12 godzin pracy i 24 godziny wolnego. Mieliśmy przepustki upoważniające do stałego przebywania na terenie miasta. Był to moment, który definitywnie można uznać za koniec beztróskiego dzieciństwa Zbigniewa Gregorowicza. Uczucia patriotyczne tego młodego, bo przecież piętnastoletniego człowieka, sięgnęły szczytu. Wtedy właśnie postanowił, że będzie ryzykował swoje życie w walce z okupantem.*

Rola harcerzy polegała na przykład na zatrzymaniu podejrzanych w placówce wartowniczej do czasu przyścia policji, po którą musieli zatelefonować. *Pamiętam, jak na początku września, starosta nakazał nam zatrzymać jakiegoś petenta, po którego zgłosiło się dwóch policjantów – wspomina bohater pracy.*

Zbigniew Gregorowicz brał udział w harcerskiej służbie przy starostwie od 15 sierpnia do 13 września 1939 roku.

Pomimo pogarszającej się sytuacji obronnej kraju, Grodno było odcięte od polskich wydarzeń, ze względu na swoje peryferyjne położenie. Kryzys unaoczniał się dopiero około 10 września.

¹ Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Grodnie

Służba Zbigniewa Gregorowicza, mimo wielkich chęci walki w obronie ojczyzny, musiała zostać przerwana w dniu 13 września, ponieważ cała jego rodzina została ewakuowana do Głębokiego, gdzie wyjeżdżali wszyscy pracownicy grodzieńskiej administracji oraz ich najbliżsi. *Trudno opisać uczucia z jakimi opuszczaliśmy mieszkanie przy ulicy Piaskowej 9. Zabraliśmy dwie walizki, plecak mój i jakieś torby. Straszne jest opuszczanie domu ze świadomością, że nie wiadomo, czy w ogóle się do niego wróci.*

Po przyjeździe do Głębokiego, Dominik Gregorowicz zameldował się w miejscowym sądzie, gdzie został oddelegowany do sądu grodzkiego w Druji, miasta leżącego w pobliżu granicy polsko – łotewskiej. Rodzina dotarła tam 16 września 1939 roku.

Jak wspomina Zbigniew Gregorowicz: *Rano, następnego dnia, obudził nas pracownik sądu i zakomunikował zaskakującą „nowinę”: „Panie sędzio, mówią, że bolszewiki idą”. Poderwało nas na równe nogi. W obliczu najazdu wojsk sowieckich, kobiety, dzieci i mężczyźni niezdolni do noszenia broni mieli przeprosić się przez rzekę Dźwinę i zbiec do Łotwy, gdzie mieli zostać objęci opieką administracji łotewskiej. Strażnicy graniczni nie wiedzieli jednak o żadnym porozumieniu i nie przepuścili kolumny wozów przez granicę, więc zarządzono powrót do Druji.*

Miało wtedy miejsce ciekawe zdarzenie, które według mnie miało duży wpływ na ukształtowanie charakteru młodego chłopca, jakim był wówczas Zbigniew Gregorowicz - na zaciętego patriotę i obrońcę ojczyzny w tak trudnym czasie. Dobrze pamiętam, że sytuacja ta była przez mojego dziadka wielokrotnie omawiana, a waga owego wydarzenia - często podkreślana. Wspomina on: *Po dłuższym okresie, kolumna wozów się zatrzymała, a w niedalekiej odległości od nas byłem świadkiem niezwykłego i niezapomnianego zdarzenia. Z ciemności wyłonił się trzyosobowy konny patrol Korpusu Ochrony Pogranicza. Młody podporucznik, zatrzymany przez pana Godziszę², został zapytany, co oni jeszcze tu robią, a graniczny odpowiedział „Pełnimy służbę i póki nie otrzymamy rozkazu, lub ktoś nas nie „zdepcnie” z granicy, posterunku nie opuszczę”. Z oddalającym się patroliem żołnierza polskiego wzbierał we mnie straszny smutek i żal. Żal wynikał zapewne przede wszystkim z tego, że młody Zbigniew Gregorowicz nie mógł pogodzić się z faktem swojej bierności wobec walki z okupantem.*

Po dotarciu do Druji, rodzina przedostała się do Dukszt, gdzie po trudnościach ze znalezieniem noclegu, została przyjęta w żydowskim domu. Było to dla rodziny Gregorowiczów miłe zaskoczenie, a Zbigniew Gregorowicz tak wspomina tą sytuację: *Ojciec przedstawił się i chciał płacić za przygarnięcie nas. Gospodarz domu odmówił przyjęcia zapłaty oświadczając: „Panie sędzio, wojna dopiero się rozpoczęła, będziecie mogli pomagać potrzebującym w innych sytuacjach”. Rodzina zapamiętała tę życzliwość ze strony Żydów, odpłacając się pomocą Żydom z getta warszawskiego, w okolicy którego mieszkali w późniejszym okresie wojny.*

Po wkroczeniu do Dukszt wojsk radzieckich, mimo dużych trudności związanych z transportem kolejowym, rodzinie Gregorowiczów udało się wyjechać do Wilna, a stamtąd powrócić do Grodna.

² wicestarosta Druji

Jak wspomina siostra bohatera pracy, Jadwiga Strączek, rodzina Gregorowiczów była jedną z pierwszych, które miały być represjonowane przez sowieckiego okupanta, ze względu na pracę Dominika Gregorowicza w polskim sądownictwie. *Wiem, że on chciał i on był zaangażowany³, ale w związku z tym, że po południu przyszli Żydzi adwokaci, którzy mojego ojca bardzo lubili, i powiedzieli: „Panie sędzio proszę uciekać, jest pan na pierwszej liście wywozowej. Tej nocy, albo jutro przyjdą po pana z całą rodziną”. To była trzecia godzina. Był pociąg do Brześcia około piątej, szóstej.*

Z Brześcia, decyzją rady rodzinnej, Zbigniew Gregorowicz, wraz z ojcem, udał się do Lwowa, jednak wrogie nastawienie autochtonów do Polaków, i służalczy stosunek do Sowietów, spowodowały, że po kilku dniach wrócili oni do Brześcia.

Wszyscy bardzo bali się wywózki. *Ojciec zabrał wszystkie ważniejsze dokumenty i odznaczenia, łącznie z Orłętami Lwowskimi i moim Krzyżem harcerskim, do tuby ściśle zalakowanej, i na przedmieściach Brześcia wrzucił do ślepego komina w domu znajomych. Pozostawił tylko paszporty, wydane w województwie warszawskim, które miały świadczyć o naszym uchodźczym charakterze z Polski centralnej – wspomina Zbigniew Gregorowicz – Raptem, w marcu 1940 roku, gruchnęła wiadomość o zbliżającym się przyjeździe komisji niemieckiej, która miała rozpatrywać sprawy uchodźcze, wydając dokumenty upoważniające do przekroczenia granicy stref okupacyjnych.*

Gregorowiczom udało się dostać przepustki, dzięki dokumentom poświadczającym ich pochodzenie z Polski centralnej. Dużą rolę odegrał fakt posiadania metryczki urodzenia Zbigniewa Gregorowicza, wydanej przez parafię w Makowie Mazowieckim⁴, gdzie mieszkała rodzina, ponieważ Dominik Gregorowicz przez jakiś czas pracował w tamtejszym starostwie.

Wszyscy obawiali się bardzo, że pociąg z przesiedleńcami pojedzie na wschód, w głąb ZSRR, a nie na zachód. Na szczęście tak się nie stało, transport został skierowany na ziemie okupowane przez Niemców.

Rodzina spędziła najpierw dwa tygodnie w obozie przejściowym w Białej Podlaskiej, gdzie wszyscy zostali poddani kwarantannie i rewizji. Po tym okresie czasu, udała się do krewnych w Makowie Podhalańskim, a następnie do Warszawy, w celu znalezienia pracy.

³ Dominik Gregorowicz

⁴ załącznik I

II

Okupacja

„Gorzki chleb to jest polskość...”
Cyprian Kamil Norwid

Po przyjeździe do okupowanej Warszawy, Gregorowiczowie zamieszkali, jako sublokatorzy, w domu przy ulicy Miedzianej 1.

Jak wspomina Zbigniew Gregorowicz: *Siostra zaczęła uczęszczać do szkoły zawodowej, bo tylko takie były dostępne dla Polaków, a ja rozpocząłem pracę fizyczną na kolei. Praca ta polegała na noszeniu skrzynki bufetowej na warszawskim dworcu kolejowym. Jadwiga Gregorowicz mówi o tym, że dzięki tej pracy, udawało mu się utrzymać dom, opłacić jedzenie i mieszkanie. Zbyszek dom utrzymywał noszeniem tego bagażu, na tym dworcu. Dwa razy go aresztowali, bo miał przy sobie niemiecką walutę, czego nie można było, ale jakoś go wypuścili z tego aresztu widząc, że ma Matkę Boską w portfelu, jak pokazywał ten Ausweiss. O Ausweiss nie było łatwo. Matka, Stefania, pisze w liście z 8 stycznia 1943 roku do swojej siostry Janiny Mondalskiej: Wyglądamy wszyscy jak w czasach wojennych, ale zdaje się, że jednak Zbysio najgorzej, jakkolwiek czuje się zdrów. Tak jak większość społeczeństwa i my jesteśmy, jak ty to nazywasz, „zagonieni”. Od rana do wieczora, a jeszcze dokładniej mówiąc do nocy, każdy w swoim zakresie. Jakiś nawet czas życie się tak układało, że Zbysia nie widywałam 3-4 dni, bo kiedy ja przychodziłam do domu, to Zbysia nie było i odwrotnie. Obecnie Zbysia praca w ogóle nie układa się, bo nie ma Ausweissu, który spodziewa się w tych dniach zdobyć po raz wtóry. Czy to się jednak uda, to zobaczymy wkrótce. Ale grunt, ażebyśmy byli wszyscy zdrowi i razem, to przy Bożej pomocy jakoś żyć będziemy. A warunki do życia w Warszawie były straszne – nie było opału, ograniczano światło, obowiązywała godzina policyjna i nie można było dostać mydła.*

Sam Zbigniew Gregorowicz upatrywał w swojej pracy na kolei możliwości jakiejś działalności dywersyjnej, co opisuje również w swoich wspomnieniach: *Dało mi to możliwość obserwacji ruchów wojsk niemieckich, jadących na front, co bardzo przydało się w okresie późniejszego zaangażowania w Armii Krajowej.*

Warszawa, jak i cały kraj, żyło swoim życiem jawnym i podziemnym. Utrzymanie rodzin było bardzo trudne. Te, które miały bliskich lub znajomych na prowincji, uzyskiwały od nich pomoc w różnej formie. Obrzeża Warszawy były zagospodarowywane ogródkami działkowymi, których plony wspomagały zaopatrzenie miasta w jarzyny i owoce. Duża ilość rodzin była pozbawiona dorosłych mężczyzn - wziętych do wojska, lub też ukrywających się ze względów politycznych lub konspiracyjnych. Ciężar utrzymania domów spadał na kobiety, które dokonywały cudów, żeby zarobić, wychować dzieci, a nierzadko uczestniczyć w życiu Podziemia - udzielając mieszkań w celach konspiracyjnych, względnie chroniąc tropionych. Pomocne im były starsze, dorastające dzieci, które poza tymi obowiązkami wiązały się z pracą w konspiracji. Chłopcy i dziewczęta włączali się do wojskowych organizacji poprzez swoje środowiska szkolne lub harcerskie. Tych którzy trafili do stolicy ze wschodnich lub zachodnich terenów kraju, dobrowolnie lub pod przymusem, wciągano do konspiracji przez znajomych. Przykładem takiej osoby był właśnie Zbigniew Gregorowicz. Poprzez działalność w konspiracji mógł on kontynuować czynne trwanie w swoich ideałach, jakimi były: obrona ojczyzny i walka z okupantem.

Mając za sobą określoną harcerską przeszłość, powinienem był nawiązać kontakt z podziemnym ruchem Szarych Szeregów, ale nie mając żadnych znajomości w tych

*kregach, trafiłem do Orląt Warszawskich*⁵. *Młodzież, która należała do tej organizacji, pochodziła z najuboższych rodzin robotniczych i inteligenckich – wspomina bohater pracy.*

Zbigniew Gregorowicz nawiązał w Warszawie kontakt ze swoim starszym, przedwojennym kolegą ze szkoły w Prużanie, Czesławem Radkiewiczem⁶. Był on zaprzyjaźniony także z rodzicami bohatera pracy. Kontakt ten miał daleko idące konsekwencje, ponieważ jego skutkiem zostało włączenie Zbigniewa Gregorowicza w szeregi warszawskich Orląt oraz skorzystanie z możliwości kontynuacji nauki na kompletach praskiego Liceum im. Władysława IV, co później umożliwiło mu zdanie egzaminu maturalnego w 1945 roku.

W efekcie, jego wstąpienie do organizacji Orląt Warszawskich nastąpiło 1 marca 1942 roku, a zaprzysiężenie w maju tego samego roku, pod pseudonimem „Grom”. Zbigniew Gregorowicz prowadził początkowo sekcję najmłodszych żołnierzy, szkoląc ich w łączności oraz w identyfikacji służb niemieckich – wojskowych i politycznych. Plutony Orląt Warszawskich zostały wcielone w szeregi Armii Krajowej z chwilą jej powstania⁷.

W 1943 roku, „Grom” został skierowany do rocznej Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty, z równoczesnym zobowiązaniem do uczestnictwa w tajnych kompletach licealnych. Świadczy to o tym, że angażując młodych ludzi w partyzantkę, myślano także o ich powojennej przyszłości. Jak wspomina Zbigniew Gregorowicz: *Szkolnictwo wojskowe, jak i cywilne, mimo licznych łapanek, ulicznych rewizji i kontroli mieszkań, funkcjonowało normalnie. Zostałem skontaktowany z dyrektorem Gimnazjum i Liceum im. Władysława IV na Pradze, mgr Usarkiem, w celu podjęcia kontynuacji nauki w klasie I licealnej, na tajnych kompletach. Zmuszono mnie⁸ do wznowienia nauki przerwanej w 1939 roku, po skończeniu III klasy Gimnazjum im. A. Mickiewicza w Grodnie. Czteroletnia przerwa i do tego brak czwartej klasy wymagały bardzo dużego wysiłku, zwłaszcza w przedmiotach ścisłych: matematyce, fizyce i chemii. Rano praca zawodowa, a po południu i w niedzielę - zajęcia na kompletach i w podchorążówce.*

Zajęcia szkolne odbywały się w prywatnych mieszkaniach, kolejno u każdego ze słuchaczy – tak na kompletach jak i w podchorążówce.

Klasa licealna liczyła sześć osób. Jak wspomina „Grom”: *Mieliśmy ogromne możliwości rozwoju. Uczyli nas najlepsi profesorowie uniwersyteccy: matematyk - prof. Kulczycki, polonista - prof. Górski, chemik - docent Szyc. Wykłady tego ostatniego sprawiły, że poza historią skierowałem swe zainteresowanie na chemię.*

Z tajnym nauczaniem wiązało się oczywiście niebezpieczeństwo odkrycia go przez okupanta. *Pamiętam, jak późną godziną wieczorną, listopadowego dnia, wracałem z kolegą - Leszkiem Modlińskim, z zajęć szkolnych, ulicą Białostocką, tuż*

⁵ Była to organizacja młodzieżowa, założona w 1934 roku, przez Stanisława Strzeleckiego. Działała ona pod patronatem Związku Strzeleckiego i nawiązywała do tradycji Orląt Lwowskich. Przyjmowano do niej młodzież w wieku od 12 do 18 lat.

⁶ Czesław Radkiewicz przeniósł się wraz z rodzicami do Warszawy w latach trzydziestych, gdzie zdał maturę i został skierowany do podchorążówki artylerii, brał udział w wojnie obronnej 1939 roku, następnie trafił do Orląt Warszawskich, które wprowadził w szeregi Armii Krajowej.

⁷ 14 lutego 1942 roku

⁸ wymóg Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty

przed godziną policyjną, gdy zza węgła jednego z domów wyłonił się patrol żandarmerii polowej, który idąc rozrzuconym szykiem, nie wiem jakim cudem, nie zatrzymał nas. Mieliśmy przy sobie książki do nauki i notatki – wspomina Zbigniew Gregorowicz.

Czasem zajęcia szkolne, zwłaszcza w niedzielę, odbywały się w podziemiach bazyliki przy ulicy Otwockiej. Którejś niedzieli 1944 roku, poza naszymi zajęciami, odbywała się matura. Raptem wpada ktoś i nakazuje natychmiast opuścić podziemia, przejść do kościoła wewnętrznymi schodami i zmieszać się z tłumem wiernych uczestniczących w nabożeństwie. Bazylika została otoczona pierścieniem niemieckiej policji, której podobno doniesiono o mającym nastąpić przekazaniu broni na pobliskim przystanku tramwajowym. Po skończonym nabożeństwie wyszliśmy w tłumie z kościoła. Z tego wniossek, że młodzież biorąca udział w tajnych kompletach była bardzo zdyscyplinowana, co wynikało zapewne z równoczesnego kształcenia się w podchorążówce.

Zbigniew Gregorowicz uczęszczał również na zajęcia do Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty, które opisuje w swoich wspomnieniach: Nasz dowódca z każdym tygodniem z żelazną konsekwencją zmieniał nas w prawdziwych żołnierzy. Wymagał żelaznej dyscypliny, wkuwania na pamięć dużych partii materiału oraz przyzwyczajania się do błyskawicznego reagowania w symulowanych sytuacjach. Kładł specjalny nacisk na umiejętność wnikliwej obserwacji. Każdy z nas nabył konspiracyjnie wydany 300-stronicowy podręcznik dowódcy plutonu strzeleckiego⁹, z datą wsteczną 1939 rok, co miało świadczyć o przedwojennym pochodzeniu podręcznika. Treść jego była uzupełniona w stosunku do przedwojennego olbrzymią ilością informacji: walką w mieście, w polu, ubezpieczeniem w marszu i postoju, różnymi rodzajami broni, łącznością, terenoznawstwem i wieloma innymi. We wstępie do podręcznika były podane cechy, jakimi powinien odznaczać się dowódca plutonu: silny charakter i odwaga, energia, wytrzymałość fizyczna i psychiczna, wiedza, opanowanie, zdolność dawania osobistego przykładu, przedsiębiorczość i ruchliwość, koleżeństwo i rycerskość. Dobrze pamiętam swojego dziadka i nie odmówiłabym mu żadnej z tych cech.

Zadania, jakie wykonywali adepci szkoły podchorążych, były bardzo różnorodne. W swoich wspomnieniach, Zbigniew Gregorowicz szeroko rozpamiętuje jedno z nich, które miało miejsce w lipcu 1943 roku: Pod koniec zbiórki, dowódca naszej klasy podchorążych, porucznik „Edward”, wręczył mi maleńką kopertkę, którą miałem otworzyć w sobotę rano. Pojedynczo opuszczaliśmy lokal. Kopertkę schowałem pod podszewkę kaszkietu, po odmeldowaniu się starszemu klasą, pośpiesznie opuściłem mieszkanie Lota.

W ostatniej chwili wpadłem na przystanku przy ulicy Żąbkowickiej do tramwaju, o tej porze wieczornej prawie pustego. Nawet bardzo upalny lipiec nie zachęcał mieszkańców Warszawy do wieczornych spacerów, bowiem liczne łapanki organizowane przez Niemców wściekłych za niepowodzenia na froncie wschodnim, odstraszały od niekoniecznego przebywania na mieście. W sobotę raniutko rozerwałem kopertę i przeczytałem następujące dwa zdania: „Wyjazd autobusem z Błonia¹⁰ dziś o godzinie 13.45. Dalsze informacje na miejscu”.

⁹ załącznik II

¹⁰ miasto oddalone około 30 km na zachód od Warszawy

Uprzedziłem Matkę, że na pewno zanocuję u kolegi na Mokotowie i przygotowując się do pracy, w myśli układałem najwłaściwszy ekwipunek osobisty, który wezmę ze sobą. Nie było dużego wyboru. Licząc się z możliwością jakiegoś marszu, uwagę skierowałem na ubranie odpowiednich butów.

Praca tego dnia bardzo mi się dłużyła. Przed pierwszą wyleciałem z biura i po przejechaniu tramwajem kilku przystanków, znalazłem się na dworcu autobusowym. Nigdy wcześniej nie byłem w Błoniu, ani nie znałem tych stron.

Autobus był przepelniony. W sobotnie wczesne popołudnie dużo ludzi wyjeżdżało z Warszawy do znajomych i krewnych. Jadąc ulicami miasta, widzę wzmocnione patrole policji i żandarmerii. Pewno przygotowania do oblawy lub łapanki. Na szczęście autobus przejeżdża niezatrzymany.

Na podwarszawskich przystankach coraz więcej pasażerów opuszcza autobus. Podświadomie czuję na sobie czyjś wzrok. Niby przypadkowo opuszczam złożoną gazetę, po którą schylając się, zauważam w drugim końcu autobusu dowódcę swego plutonu. Teraz rozumiem, co znaczy drugie zdanie rozkazu wypisane na kartce.

„Czesław” wychodzi pierwszy z autobusu. Idę parę kroków za nim. Wchodzimy w jakąś boczną uliczkę. Bardzo ciekaw jestem, co będzie dalej?

Mój przewodnik zatrzymuje się i wyciąga papierosy. Zrozumiałem, że nadszedł czas, aby podejść do niego. Prosi mnie o zapalniczki. Po chwili idziemy razem. „Czesław” informuje mnie, że w razie zatrzymania nas przez Niemców, mamy mówić, że idziemy do kolonii dziecięcej RGO¹¹ w Julinku. On jest elektromonterem i ma tam dokonać jakiejś naprawy instalacji, a ja mam odwiedzić jednego z chłopców.

Po kilkunastu minutach wspólnego marszu, zadaje mi pytania dotyczące szczegółów mijanych ulic i domostw. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i osiągniemy skraj lasu.

Mieszany las, z przewagą drzew liściastych. Miejscami ukazują się duże, otwarte polany. Po przejściu jednej z nich, wchodzimy na dróżkę prowadzącą do gęstego młodniaka. Po przejściu kilkadziesiąt kroków, zatrzymuje nas stanowcze „Stój! Kto idzie?” Następuje wymiana hasła i odzewu.

Zdziwienie moje jest ogromne. Zatrzymuje nas dwóch chłopców w wieku około 14-15 lat. Jeden z nich stał ukryty za drzewem, a drugi leżał parę kroków dalej, w gęstym dębczaku. Mimo woli, przypomniały mi się ostatnie przedwojenne wakacje, które częściowo spędzałem na obozie harcerskim pod Wilnem.

„Czesław” skinął ręką i poszliśmy dalej. Po paru minutach marszu, wkroczyliśmy na plac przed dużym budynkiem, przed którym na stosunkowo wysokim maszcie łopotała polska flaga. O kilkadziesiąt kilometrów od szefa dystryktu warszawskiego, a parę kilometrów od najbliższego posterunku policji niemieckiej - skrawek wolnej Ojczyzny! Jasny promyk w mroku strasznej okupacji.

Obok masztu przechadzał się wysoki, szczupły chłopak o płowych włosach, bacznie nam się przyglądając. „Czesław” kazał mi zaczekać, a sam, po krótkiej wymianie zdań z wartownikiem flagi, udał się do budynku. Orlik – tak nazywała się kolonia w kryptonimie konspiracyjnym AK, która grupowała młodzież robotniczych środowisk Warszawy. Dowódcą tych grup młodzieży „Orląt”, był porucznik Stanisław Szędnicki, który potem zginął w Powstaniu Warszawskim.

¹¹ Rada Główna Opiekuńcza

Po kolacji i ognisku dostałem następną kopertę z dalszym rozkazem. W niedzielę rano miałem wykonać parę zadań z terenoznawstwa w ramach szkolenia podchorążych. W godzinach popołudniowych wracałem do okupowanej Warszawy. Przed oczyma miałem dwuszeręg chłopców śpiewających „Jeszcze Polska nie zginęła...” oraz opuszczaną flagę w czasie wieczornego apelu.

Przytoczony obszerny fragment wspomnień dokładnie obrazuje fenomenalny sposób, w jaki uczono młodych akowców rzemiosła partyzanckiego. Sam fakt istnienia owej kolonii młodzieży Orląt Warszawskich świadczy o tym, w jak młodym wieku byli chłopcy, chcący się w jakiś sposób przysłużyć ojczyźnie w walce z okupantem.

Końcowy egzamin w podchorążówce miał miejsce pod koniec kwietnia 1944 roku. Stanęło do niego jednak tylko pięć osób. Jeden z uczestników zajęć odpadł, ponieważ nie wytrzymał psychicznie. Egzamin odbył się w warszawskim mieszkaniu przy ulicy Białostockiej, a jego przebieg był następujący: *Zdawaliśmy pojedynczo, przed komisją złożoną z trzech oficerów, a jednym z nich był porucznik „Edward”. Po zameldowaniu się przewodniczącemu komisji w randze majora, w postawie na baczność, wyprostowany jak struna, odpowiadałem na zadawane pytania. Po kilku minutach przewodniczący dał komendę „spocznij” i polecił zbliżyć się do stołu, na którym leżało parę map wojskowych - sztabówek. Otrzymałem zadanie wyboru miejsca zasadzki z podaniem uzasadnienia. Rysowałem na papierze usytuowanie poszczególnych drużyn z omówieniem przebiegu akcji. Było parę zaskakujących pytań ze strony jednego z egzaminatorów - wyszedłem z tego obronną ręką. Najbardziej baliśmy się rozkazodawstwa, które musiało być regulaminowe, jasne i zdecydowane. Końcowe zadanie polegało na dokonaniu przekroju terenu z wycinka konkretnej mapy, dla ilustracji pola rażenia przez artylerię ogniem bezpośrednim.*

W maju tego samego roku, czterech zdających – w tym „Grom” - otrzymało nominacje na kaprali podchorążych rezerwy piechoty, a pozostały piąty – na starszego strzelca. Zbigniew Gregorowicz otrzymał nr 1033 i został przydzielony do plutonu 1679, w obwodzie 6/XXVI, w rejonie V, który stanowił 36 pułk piechoty Armii Krajowej. Z dniem 3 maja 1944 roku, po złożeniu przysięgi na ręce kapelana tych oddziałów, został promowany i jako kapral podchorąży skierowany do plutonu 1681, na dowódcę II drużyny, która liczyła około 20 żołnierzy, w tym sekcję młodocianą. Tygodnie przed powstaniem warszawskim były poświęcone licznym ćwiczeniom z poszczególnymi sekcjami tej grupy. Były to wyjazdy w teren, zajęcia z łączności i terenoznawstwa, pierwszej pomocy oraz znajomości broni podstawowych.

Edukację Zbigniewa Gregorowicza gorąco popierała jego rodzina, a w szczególności ojciec, przedkładając naukę nad pracę w celu utrzymania rodziny.

„Grom”, włączając się do pracy w Podziemiu, był już drugim członkiem rodziny, który podążył tą drogą. Jego ojciec, Dominik Gregorowicz, będąc przed wojną zawodowym sędzią, został wciągnięty do konspiracyjnego sądownictwa. Działo się to wszystko w tajemnicy przed rodziną, Zbigniew

Gregorowicz dowiedział się o tym przez przypadek. *Po tragicznej śmierci ojca¹² w 1943 roku dowiedziałem się, że sądownictwo cywilne obejmowało swoim orzecznictwem sprawy z całej przedwojennej Polski. Każde województwo miało swój sąd. Trzy z nich znajdowały się na terenie Warszawy. Były to sądy dla Okręgu Polesie, Obszaru Zachodniego i Warszawskiej Delegatury Okręgowej. Sprawy wpływały poprzez organa kierownictwa walki cywilnej. Skład orzekający stanowiły trzy osoby: zawodowy sędzia, który najczęściej był przewodniczącym, a przed wojną mieszkał i pracował na terenie danego województwa, następnie przedstawiciel kierownictwa walki cywilnej oraz oskarżyciel wojskowy. Rozprawy prowadzone były w trybie niejawnym, a dokumentacja wraz z postanowieniami sądu przekazywana była administracji państwowej. Niestychanie mała część zapadających wyroków była podawana do publicznej wiadomości przez prasę podziemną – wspomina.*

Jadwiga Gregorowicz wspomina pracę swojego ojca z wielkim rozżaleniem: *Ojca mego wciągnęli jako sędziego do rozpraw zdrad. Ja o tym nie wiedziałam. Ojciec nosił broń. To była jedna wielka pomyłka. Jak można było dać broń, który tak źle widzi¹³. Przecież on by się nigdy nie umiał obronić. Podejrzewa również, że tragiczna śmierć Dominika Gregorowicza wiązała się z jego działalnością w Podziemiu i opowiada o tym zdarzeniu ze łzami w oczach: *Myśmy zaczęły podejrzewać, że ojca chcieli aresztować. Albo ojca wypchnęli, albo ojciec wyskakiwał, bo wpadł pod ten drugi tramwaj, odcięło mu nogę jedną, a drugą zmiażdżyło. To było pod oknami, że ja od razu zemdlałam.**

Jest to kolejny dowód na potwierdzenie tezy postawionej w I rozdziale, że życiowa niepokorność Zbigniewa Gregorowicza w dużej mierze wynikała z tego, co wyniósł ze swojego domu rodzinnego. Różnica polegała na tym, że ojciec brał udział w cywilnej walce z okupantem niemieckim, a syn został partyzantem.

Myślę, że duży wpływ na jego charakter, miało też środowisko młodych i aktywnych ludzi, w którym się obracał. Czytając jego wspomnienia, natknęłam się na ciekawą historię z czasu okupacji, dotyczącą jego kolegi – Zbigniewa Majewskiego: *W godzinach nocnych gwałtowne walenie do drzwi frontowych zerwało nas z łóżek. Policja kryminalna poszukiwała Zbyszka Majewskiego. Przeprowadzono gruntowną rewizję, na szczęście nic nie znaleziono, pomimo że były ukryte tu moje materiały konspiracyjne. Zbyszek później zginął w brawurowym stylu. Wszedł do jednego z lokali na Pradze, gdzie pod groźbą pistoletu wymógł zagranie hymnu narodowego. Doszło do strzelaniny, w której, samotny, nie miał szans. Zdarzenie to ukazuje desperację ówczesnego „pokolenia kolumbów”, które tak bardzo chciało w jakiś znaczący sposób pomóc w obronie ojczyzny, a było to tak trudne, a wręcz niemożliwe do zrealizowania przez nich, bez pomocy z zewnątrz. Jest to również przykład tego, jak trudno było sobie z tym poradzić psychicznie, a mojemu dziadkowi udało się tego dokonać.*

¹² Dominik Gregorowicz uległ wypadkowi – wyskoczył, lub został wypchnięty z tramwaju, na szyny, po których jechał inny tramwaj. W bezpośrednim wyniku tego zdarzenia stracił nogę, a miesiąc później zmarł.

¹³ Dominik Gregorowicz miał bardzo dużą wadę wzroku – około 14 dioptrii.

III

Działania wojenne

„Żadnego bohaterstwa nie da się zaplanować; może się ono jedynie
przytrafić”
Karel Capek

Już na początku lata 1944 roku, rozpoczęły się w Warszawie przygotowania do walki powstańczej. Dowódcy drużyn, należał do nich także Zbigniew Gregorowicz, otrzymali informacje o terenie ich przyszłych działań, na przełomie czerwca i lipca. Pluton 1681 miał objąć stanowiska w parku Skaryszewskim, a następnie nacierać na umocnienia mostu Poniatowskiego od strony Pragi. Gorączkowe dni towarzyszące przygotowaniom do powstania wspomina „Grom”: *W połowie lipca, przewalająca się fala rozbitych wojsk niemieckich przez Warszawę radykalizuje postawy młodzieży akowskiej, która oczekuje na sygnał do ogólnokrajowego powstania. Ostatnie dni lipca są bardzo gorączkowe. Oddziały zostają postawione w stan pogotowia. Wchodzimy w końcową fazę przedpowstaniową.*

Drużyna, której przewodniczył Zbigniew Gregorowicz, została zgrupowana w jednym z mieszkań parterowych przy ulicy Żąbkowskiej. Dowódca w ten sposób wspomina ostateczne przygotowania do wybuchu powstania: *Idę w godzinach rannych, 31 lipca lub 1 sierpnia, z dwoma żołnierzami, po odbiór granatów, na punkt magazynu zgrupowania. Wracając na kwaterę, mijamy patrol niemiecki, idący naprzeciw, po drugiej stronie ulicy. Dostajemy rozkaz pozostania w kwaterze do godziny W, ze względu na zajęcie parku Skaryszewskiego przez jakieś oddziały niemieckich lotników. Utrzymanie 20 ludzi w mieszkaniu bez dekonspiracji staje się bardzo trudne.*

Ludzie mieszkający w sąsiednich lokalach byli coraz mocniej zaniepokojeni, aż w końcu poprosili oddział o opuszczenie kwatery. Nie było innego wyjścia – drużyna została skierowana do zapasowego mieszkania przy ulicy Łochowskiej. Miało to miejsce już po pierwszych strzałach zwiastujących powstanie. *Ulice pustoszeją, trójkami, w odstępach kilkusekundowych, biegniemy ulicą Kawęczyńską. Zajmujemy jedną z bram przy ulicy Łochowskiej. Nie mam żadnej łączności z I drużyną, natomiast zjawia się dowódca III drużyny – kapral podchorąży Zbigniew Mikonowicz, który podporządkowuje się mojej komendzie i przyprowadza kilkunastu swoich żołnierzy. Ustawiam wszystkich w dwuszeregu, sprawdzam, jaką dysponujemy bronią. Stan opłakany.*

Uzbrojenie istotnie było niezwykle słabe. Kiedy po raz pierwszy czytałam wspomnienia Zbigniewa Gregorowicza, bardzo mnie to poruszyło i spowodowało moje rozważania na temat militarnego sensu powstania warszawskiego. Drużyna, wraz z ochotnikami, którzy do niej dołączyli, liczyła około 35 osób, a posiadana przez nią broń, według wspomnień „Groma”, przedstawiała się następująco: *Dwa, trzy karabiny, z tego jeden nietypowy, z kilkoma tylko nabojami. Ponadto trzy pistolety, w tym zabawka damska – pistolecik z kilkoma pociskami. Rozdzielam na wszystkich posiadane granaty. Jest ich około 60 sztuk.*

Do drużyny wciąż zgłaszali się pojedynczy ochotnicy gotowi do walki, którzy mogliby stanowić dodatkową siłę militarną dla powstańców, ale Zbigniew Gregorowicz przyjmował tylko tych, którzy posiadali jakąś broń, bo tej nie starczało nawet dla regularnych żołnierzy.

Zdarzało się jednak, że swoje przyporządkowanie zgłaszali wojskowi innych organizacji. *Znowu zgłaszają się nowi ochotnicy. Tym razem piątka starszych ludzi. Prowadzący melduje, że są żołnierzami socjalistycznej organizacji i nie mogą*

dostać się do swoich w Warszawie. Była to najprawdopodobniej grupa żołnierzy Armii Ludowej.

Słabo uzbrojone oddziały musiały stawić czoła artylerii niemieckiej i czołgom. Improvizujemy przy pomocy mieszkańców butelki z benzyną – wspomina Zbigniew Gregorowicz - Nie mamy pojęcia, jak spiszą się konspiracyjnej produkcji granaty. Przez wiele godzin nie mam żadnego kontaktu z dowództwem. Wysyłane patrole meldują o sytuacji na pobliskich ulicach, łącznie z wiaduktem kolejowym na ulicy Radzymińskiej. Jeden z patroli, wraz z żołnierzami innych jednostek, rekwiruje samochód ciężarowy niemiecki z żywnością i papierosami. W późnych godzinach wieczornych zajmujemy szkołę przy ulicy Otwockiej, opuszczoną przez niemiecką jednostkę policyjną złożoną chyba z własowców¹³.

Przez przypadek nawiązuję kontakt z dowództwem zgrupowania. W rozmowie z jednym z oficerów składam meldunek o przebiegu wydarzeń w naszym terenie. Nie otrzymuję żadnych innych poleceń niż przejście do ponownej konspiracji. Po nawiązaniu kontaktu z dowództwem II Rejonu Praskiego i wobec przekazywanego ustnie rozkazu o przejściu oddziałów praskich do ponownej konspiracji, Zbigniew Gregorowicz postanawia, w porozumieniu z pozostałymi podchorążymi, o wydzieleniu drobnego ochotniczego oddziału, z posiadaną całą bronią, do obsadzenia czynnego młyna przy ulicy Białostockiej. Komendę nad nim objął podchorąży Ryszard Więch, pseud. „Atos”.

*Sytuacja na Pradze była dosyć spokojna, strzały pochodziły głównie od strony lewobrzeżnej Warszawy. Pozostali żołnierze drużyny zostali rozlokowani w mieszkaniach prywatnych, a „Grom” wraz ze swoim piętnastoletnim łącznikiem, strzelcem Przemysławem Marczewskim, pseud. „Zagłoba”, udał się do mieszkania przy ulicy Targowej 59, gdzie mieszkały jego matka i siostra. Jadwiga Strączek wspomina, że brat rzadko bywał i nocował w domu: *Zbyszka nie było, przyszedł za dwa, trzy dni po tym powstaniu i powiedział: „Mamo, ja się przyszedłem tylko umyć”. Zmienił koszulę, coś zjadł i poszedł. I wrócił. Widocznie oni się jakoś rozwiązywali, bo powstanie na Pradze uciхло. Wszyscy uciekli do konspiracji.**

*3 sierpnia 1944 roku, pozostawiając łącznika „Zagłobę” w mieszkaniu, Zbigniew Gregorowicz udał się do dowództwa zgrupowania, gdzie otrzymał żywność dla drużyny. Wydarzenie to opisuje w swoich wspomnieniach: *Skokami dopadłem do ogrodzenia cerkwi przy ulicy Zygmuntońskiej, od strony bloków mieszkalnych rodzin podoficerskich. Spora paczka kiełbasy, którą dostałem dla chłopców w dowództwie zgrupowania, krępowała mi swobodę ruchów, ale świadomość, że dostarczę im takie trofeum, rekompensowała niewygodę.**

W odległości około 40 metrów, na szynach tramwajowych, leżały zwłoki dwóch mężczyzn oraz zabity koń. Mrówki przeszły mi po całym ciele. Czyżby ulica Zygmuntońska była pod ostrzałem? W dowództwie zgrupowania nie otrzymałem żadnej na ten temat informacji. Wolno czołgając się do najbliższego drzewa, bacznie obserwowałem najbliższe otoczenie i wsłuchiwałem się w panującą w pobliżu ciszę.

Celem mojej wędrówki był dom przy ulicy Targowej 59, gdzie w mieszkaniu mojej Matki zostawiłem łącznika - Przemka „Zagłobę”. Przestrzeń otwartą stanowiła ulica

¹³ Tak potocznie nazywano działaczy Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej (ROA), formacji utworzonej przez Niemców z ochotników, spośród wziętych do niewoli żołnierzy radzieckich.

Zygmuntowska i placyk zabaw na rogu Targowej, graniczący z gmachem Gimnazjum Władysława IV. Trzeba było więc przebiec możliwie szybko 100 metrów.

Niestety wszystkie bramy domów były pozamykane i należało się liczyć z tym, że będą one dodatkową przeszkodą do pokonania.

Licząc się z możliwością ostrzału, postanowiłem przestrzeń otwartą przebiec sprintem. W połowie dystansu usłyszałem gromkie „Halt!”. Siłą rozpędu wpadłem na budkę rewizora tramwajowego, znikając z pola Niemcom.

Co robić? Uciekać w głąb Targowej, czy wyjść naprzeciw wrogom? Wybór decyzji przesądził czołg niemiecki jadący ulicą Targową w kierunku, w którym miałem zamiar uciekać.

Trzech żołnierzy niemieckich, z gotowymi do strzału pistoletami ubezpieczało wojskowe auto ciężarowe, które reperowane było przez szofera. Z dużym lękiem zbliżałem się do bacznie przyglądających mi się Niemców, z których jeden ruchem ręki przywołał mnie do siebie.

Starłem się nie dać po sobie poznać zdenerwowania, jednocześnie błyskawicznie obmyślając historię z chorobą Matki i koniecznością zdobycia żywności dla rodziny składającej się z kilku osób. Rudy gefrajter¹⁴ kazał mi się odwrócić, co w większym stopniu zrozumiałem po gestykulacji ręki, niż konwersacji słownej. Błyskawicznie sprawdził, czy nie mam broni i nie stwierdziwszy niczego, zadał mi pytanie, które brzmiało wręcz fantastycznie: „Co tu się dzieje?”

Zdobyłem się na maksymalny wysiłek, ażeby odpowiedzieć możliwie poprawną niemiecką.

Miałem szczęście, obsada auta znalazła się w Warszawie całkiem przypadkowo i nie brała udziału w walkach przeciwko powstańcom.

Puszczony wolno odczułem ulgę, której nie jestem w stanie opisać. A czołg tymczasem skręcił w ulicę 11 listopada.

Po powrocie do kwatery drużyny przy ulicy Łochowskiej, „Grom” dowiedział się o tragedii, jaka miała miejsce w młynie przy ulicy Białostockiej. Zginęło tam dwóch żołnierzy z jego oddziału. Według Zbigniewa Gregorowicza musiało tam dojść do uchybienia regulaminowego. Istnieje także wersja, że ktoś z pracowników młyna zdradził i otworzył Niemcom drzwi. Moim zdaniem mogły to być także niewystarczające środki ostrożności spowodowane rozprężeniem koncentracji żołnierzy, po ponownym przejściu praskich oddziałów do działalności konspiracyjnej.

*W pierwszych dniach powstania, „Grom” zachorował. Przebywał wtedy w mieszkaniu przy ulicy Targowej 59, wraz z „Zagłobą”. W tym czasie, aby osłabić siłę powstańczą mieszkańców Warszawy, Niemcy przeprowadzili internowanie, które objęło również Zbigniewa Gregorowicza. Wraz ze Przemkiem Marczewskim i innymi mężczyznami, został on doprowadzony do koszar wojskowych przy ulicy 11 listopada, a następnie wszyscy zostali skierowani do konwoju, podążającego do twierdzy w Modlinie, a później zapewne w głąb Niemiec. Wydarzenie to wspomina także Jadwiga Strączek: *W końcu jednego dnia przyszedli... wszystkich mężczyzn od wieku do wieku wyrzucali z domu. Jego też zgarnęli. Okazało się, że wypędzali mężczyzn, żeby nie wspomagali tych akowskich oddziałów po stronie Pragi. Zkomasowali ich ogromną ilość, pędzili czwórkami czy ósemkami na Wileński, do tych koszarów, na podwórko.**

¹⁴ stopień równy starszemu szeregowemu

„Grom” i „Zagłoba” zaplanowali szybką ucieczkę z konwoju. Nastąpiła ona około 15 sierpnia 1944 roku. *Nie mogliśmy z Przemkiem uwierzyć, że stosunkowo łatwo uniknęliśmy internowania. Ukradkiem wyczołgaliśmy się z kartofliska i szybko opuściliśmy opłotki gospodarstwa leżącego przy drodze do Jabłonnej – wspomina Zbigniew Gregorowicz. Zamiar doszedł do skutku w miejscowości Wiśniewo, gdzie ojciec Przemysława Marczewskiego¹⁵ miał dom. Mimo tego, że konwój był silnie strzeżony, nie padł ani jeden strzał.*

W willi ojca „Zagłoby” znajdował się punkt zborny młodych partyzantów, do którego wciąż dołączało wiele osób. Jak wspomina Jadwiga Strączek: *Bo tam były trzy pokoje. To była taka willa: parter, góra i jeszcze druga część i w tej drugiej części mieszkali lokatorzy, których bardzo się bał Zbyszek i Przemek – żeby oni nie wydali Niemcom, że tam się coś dzieje takiego niewyjaśnionego. Nic takiego jednak się nie stało. Broń donosiła powstańcom łączniczka „Blanka”. Idąc pieszo z Pragi, w plecaku niosła steny i amunicję. I tą broń i amunicję oni chowali w skrzyni w piwnicy, pod węglem – dodaje Jadwiga Strączek.*

Partyzanci zgrupowani w Wiśniewie czekali na moment przeprawy na drugą stronę Wisły, ażeby dalej walczyć w powstaniu warszawskim, na terenie Puszczy Kampinoskiej.

Okres pobytu w willi Marczewskich „Grom” wspomina w ten sposób: *Przemek słabo znał małżeństwo zamieszkujące dom jego ojca, przyjęto nas jednak życzliwie, udostępniając jeden pokój i używanie kuchni. Stanęliśmy wobec konieczności prowadzenia męskiego gospodarstwa. Ograniczone zapasy żywności wyniesione z mojego mieszkania na Pradze oraz skromna ilość posiadanych pieniędzy, zmusiły nas do zdobywania dodatkowego pożywienia. Przemek wędrował po okolicznych polach, przynosząc stamtąd kartofle i mizerne jarzyny. Gotowaliśmy zupy, które były ciągle takie same. Bardzo nas to wszystko krępowało. Sytuacja była niewątpliwie bardzo trudna. Jednocześnie Zbigniew Gregorowicz ciągle próbował nawiązać kontakt ze strukturami akowskimi znajdującymi się w okolicy, ale ze względu na ich konspiracyjną specyfikę, bardzo trudno było do nich dotrzeć.*

Po naradzie, postanowiłem posłać Przemka na Pragę, dla nawiązania kontaktu z dowództwem naszego plutonu. Miał zameldować o naszej sytuacji i miejscu pobytu. Wygląd Przemka w krótkich spodenkach, przy jego 15 latach, nie budził żadnych podejrzeń. Musiał przechodzić przez różne posterunki niemieckie, co nie było bezpieczne – wspomina bohater pracy.

Ogromna radość spotkała Zbigniewa Gregorowicza, kiedy łącznik powrócił i to z matką i siostrą „Groma”. Udało mu się także nawiązać kontakt z dowództwem zgrupowania, przekazać meldunek oraz uzyskać adres miejscowej organizacji akowskiej. *Od tego momentu zostaliśmy objęci opieką. Obaj zostaliśmy skierowani do gospodarstw ogrodniczych ludzi będących członkami Podziemia – tak Zbigniew Gregorowicz wspomina to zdarzenie.*

Pewnego dnia gospodarz domu poinformował partyzantów, że z polecenia miejscowej niemieckiej komendantury wojskowej wszyscy mężczyźni w określonym przedziale wiekowym mają stawić się do robót budowlanych. Absencja miała być karana śmiercią. *Sądziłem, że będą to roboty fortyfikacyjne – wspomina „Grom” - Jakież było moje zdziwienie, gdy ruszyliśmy z placu zbiórki, w*

¹⁵ Major Wojska Polskiego, przebywał w czasie opisywanych wydarzeń w niewoli niemieckiej.

kolumnie kilkuset¹⁶ mężczyzn, w kierunku Wisły. Konwojowało nas kilkunastu żołnierzy Wehrmachtu.

Na brzegu Wisły zobaczyliśmy dużą ilość drewna: bali, desek i innych elementów. Wśród tego wszystkiego kręciło się kilkudziesięciu żołnierzy pod dowództwem jednego oficera. Co parę minut podjeżdżały samochody ciężarowe, dowożące materiał budowlany. Zastanawiałem się, co właściwie będziemy tu robić.

Szybko rozdzielono nas na małe, kilku lub kilkunastoosobowe zespoły zwane komandami, z jednym żołnierzem - nadzorcą. Znalazłem się w dwunastoosobowym komando. Należało do nas jedno z najcięższych zadań - dźwiganie na drogach olbrzymich bali kilkumetrowej długości i kilkudziesięciocentymetrowej średnicy. Gdy nadzorujący żołnierz ustawił nas w odpowiednim szyku po sześciu i kazał chwycić za drągi, podważyć bal i podnieść, to sądziłem, że jest to niemożliwe.

Dowodzący całą operacją oficer miał zbudowaną wieżyczkę, z której obserwował przez lornetkę wykonywaną pracę. W razie niewystarczającego, jego zdaniem, tempa - strzelał z pistoletu nad głowami opieszłych.

Zostaliśmy poinformowani przez podoficera mówiącego słabo po polsku, że wszelka opieszłość w wykonywaniu pracy będzie karana śmiercią. Okazało się, że jedna kompania pionierów i my, kilkuset niewolników polskich, miało postawić most na Wiśle w błyskawicznym tempie, przy posiadanej jednej „babie” do bicia pali w nurcie rzeki.

Około południa wydawało się, że padniemy ze zmęczenia, ale wytrzymałość ludzka jest olbrzymia, zwłaszcza, gdy chodzi o zachowanie życia. Poszczególne zespoły wykonywały różne prace - jedni piłowali drewno na elementy mostu, inni je zbijali, a jeszcze inni umieszczali w obszarze przybrzeżnym rzeki. Dostarczane bale, dźwigane przez nas, były mocowane na kratownicach stanowiących główne elementy nośne mostu. Na nich z kolei, mocowano elementy nawierzchni mostu.

O przerwach w pracy nie było mowy. Jedynym odpoczynkiem był czas powrotu do dowożonego stale materiału. Z utęsknieniem oczekiwaliśmy nalotu sowieckich samolotów, bo bombardowanie przerwałoby nasz nieludzki wysiłek, ale niestety daremnie. Nigdzie w pobliżu nie widzieliśmy żadnych stanowisk artylerii przeciwlotniczej.

Z minuty na minutę most stawał się rzeczywistością. Tak zorganizowanej pracy, przy prawie zerowych środkach, nigdzie później nie widziałem. W nurcie rzeki, przy pomocy „baby”, bez przerwy wbijano pale, a stawiane na płyciźnie kratownice były obciążane przynoszonymi przez nas balami. Elementy mostu były łączone specjalnymi, metalowymi klamrami.

Jeden z nas zauważył gdzieś w krzakach stary, drewniany wóz, posiadający mocny przód i tył, które nadawałyby się do transportu bali, zwłaszcza, że weszliśmy w fazę dźwigania ich po nawierzchni powstającego mostu.

Nadzorca, widząc nasze kompletne fizyczne i psychiczne wyczerpanie, pozwolił użyć elementów tego wozu do transportów dźwiganych dotychczas bali. Odczuwaliśmy wielką ulgę, ale i tak staliśmy się na nogach.

Drugiego dnia przymusowej pracy, Zbigniew Gregorowicz o mało nie stracił stopy, w czasie przetaczania ciężkich bali drewnianych. W pewnym momencie, kiedy znalazłem się w pobliżu jednego z tylnych kół zaprzęgu, padając ze zmęczenia, tak nieszczęśliwie postawiłem nogę, że koło najechało mi na piętę. Poczułem

¹⁶ około 600 osób

straszny ból i mokro w bucie. Uratował mi stopę bardzo twardej zapiętek butów niemieckiej piechoty, które wówczas nosiłem. Żadne moje prośby o zwolnienie z pracy nie odnosiły skutku. Po zakończeniu dniówki, przy pomocy kolegów, dostałem się do domu. Gospodyni z trudem zdjęła but i zrobiła opatrunek. *Nazajutrz nie było mowy o dalszej pracy przy budowie drogi dojazdowej do powstałego mostu.*

Most wraz z drogą dojazdową został wykonany w ciągu trzech dni. Niemcy musieli mieć zabezpieczenie dla dodatkowych przepraw, ze względu na powstanie w Warszawie, a jednocześnie szybko zbliżający się front sowiecki.

Minęło kilka dni, kiedy Przemysław Marczewski ponownie udał się na Pragę. Przyprowadził on oddział porucznika „Lechity”, liczący ponad 20 osób. Była to grupa dobrze uzbrojona w broń maszynową, karabiny, pistolety i granaty oraz obładowana woreczkami z amunicją. Cała broń została złożona w piwnicy domu w Wiśniewie. Wśród przybyłych byli żołnierze z II drużyny plutonu 1681 - Wojciech Smółka („Burtaj”), Aleksander Kasprzak („Marek”) oraz Jerzy Ostas („Wilk”).

W dniu przybycia praskich żołnierzy, planowano rozpocząć akcję przedostawania się na tereny Puszczy Kampinoskiej. *Matka moja zgotowała w olbrzymiej miednicy dużo mięsa, dostarczonego dla całego oddziału, przed wyruszeniem do lasu – wspomina Jadwiga Strączek.*

Przed opuszczeniem Wiśniewa, porucznik „Lechita” przekazał dowodzenie plutonem starszemu sierżantowi, podchorążemu Stanisławowi Sękowskiemu („Michał”, „Zbrucz”), który posiadał największe doświadczenie wojskowe.

Oddziałek nawiązał kontakt z dowódcą batalionu „Legionowo”, porucznikiem „Zniczem”. *W późnych godzinach nocnych, przewodnik miejscowej organizacji AK doprowadził nas do gajówki w parku pałacu w Jabłonnej. Miejscowy gajowy, sierżant AK, umieścił nas wszystkich na poddaszu stodoły. Świeże, pachnące siano szybko uspiło nas, tylko zmieniające się warty nie mogły w pełni rozkoszować się wspaniałym noclegiem. Leżeliśmy cały następny dzień, o żadnym wychodzeniu ze stodoły nie było mowy. Przeprowadzono rozmowy z porucznikiem „Zniczem” o włączeniu nas do jego batalionu i wspólnej przeprawy przez Wisłę. Celem było połączenie się z oddziałami porucznika „Doliny”¹⁷, stacjonującymi w Puszczy Kampinoskiej. Oddziały te przywędrowały z Puszczy Nalibodzkiej, znad byłej granicy sowieckiej, ażeby wziąć udział w Powstaniu Warszawskim – opisuje w swych wspomnieniach „Grom”.*

Szybko nastąpiły trudności z konspiracją plutonu, związane z dostarczaniem do stodoły jedzenia i załatwianiem potrzeb fizjologicznych.

Rano obudziliśmy się w morzu niemieckiego wojska – wspomina Zbigniew Gregorowicz. Cały park pałacowy został zajęty przez oddziały niemieckiej dywizji SS Wiking¹⁸. W obawie przed dekonspiracją, dowódca podjął próbę szybkiego wydostania się z owej kryjówki, co opisuje „Grom”: Rozważano dwie koncepcje ewakuacji. Pierwsza - wyjście wszystkich jednocześnie, z bronią. Druga - wyniesienie całej broni przez trzy osoby, a następnie stopniowa ewakuacja,

¹⁷ Zgrupowanie Stołpecko – Nalibodzkie, dowodzone przez majora Adolfa Pilcha, pseud. „Góra”, „Dolina”

¹⁸ Niemiecka dywizja grenadierów pancernych – 5 Dywizja Pancerna SS „Wiking”

zamaskowana pracami gospodarskimi, wykonywanymi przez nas. Zgodzono się na drugie rozwiązanie, sugerowane przez gajowego, gospodarza terenu. Do wyniesienia broni zgłosiło się na ochotnika trzech ludzi z dywersji. Miało to miejsce 6 września 1944 roku.

Gajówka leżała na obrzeżu parku, blisko zarośli wiślanych. Wprowadzającym był gajowy, który znał teren i orientował się w rozmieszczeniu stanowisk niemieckich. Z zapartym tchem oczekiwaliśmy przez parę minut, czy nie nastąpi strzelanina, ale transport dotarł szczęśliwie do nieczynnego cmentarza ewangelickiego, gdzie jeden z grobowców był kryjówką miejscowych oddziałów – wspomina „Grom”. Na tym cmentarzu składowano także większość broni. Zbigniew Gregorowicz otrzymał stena¹⁹ i woreczek z amunicją. Powstańcy byli wyprowadzani pojedynczo do nadwiślańskich zarośli, gdzie mieli czekać na przeprawę przez rzekę, do Puszczy Kampinoskiej.

Wziąłem plecak z całym swoim dobytkiem i ruszyłem w kierunku drogi biegnącej niedaleko zabudowań. Widziałem, jak staruszka - matka gospodarza, kreśliła ręką znak krzyża. Mimo woli przed oczyma stanęła mi moja Matka, która żegnała nas przed dwoma tygodniami w Wiśniewie. Oprócz patriotyzmu i miłości do rodziny, charakterystyczną cechą Zbigniewa Gregorowicza była też głęboka wiara. Często w swoich wspomnieniach dziękuje on Opatrzności za uchronienie go przed niebezpieczeństwem.

Około godziny dwudziestej pierwszej, szykiem ubezpieczonym, ruszyliśmy w kierunku Jabłonnej. Idąc w przednim ubezpieczeniu miałem za przewodnika łączniczkę „Blanę”, która świetnie знаła ten teren.

W dniach 13 i 14 września 1944 roku, w miejscowości Jabłonna, nastąpiła przeprawa oddziałów przez Wisłę. Po przeszło godzinnym marszu, zatrzymaliśmy się w zaroślach, około 200 metrów od brzegu Wisły. Po parominutowym postoju, łączniczka poprowadziła dalej, do oczekującego nas przeszło stuosobowego oddziału porucznika „Znicza”. Oddziały te rekrutowały się z okolic Legionowa i Jabłonnej. Oporządzenie ich było niemieckie: hełmy, mundury wojsk lotniczych oraz broń piechoty - mauzery²⁰ i erkaemy²¹. Tylko biało-czerwone opaski odróżniały ich od wroga. Nasi chłopcy z Pragi byli ubrani głównie w zrzutowe mundury angielskie, a uzbrojeni w broń niemiecką, która była zdobyta w Afryce i zrzucona w kraju – wspomina „Grom”.

*Oddział, do którego należał Zbigniew Gregorowicz, został włączony, jako trzeci pluton, do kompanii podporucznika „Matora”. Powstańcy mieli przepłynąć się przez rzekę o północy, a następnie maszerować do Puszczy Kampinoskiej. „Grom” pisze w swoich wspomnieniach: *Komary cięły niesamowicie, kwadrans mijają, a łodzie, na które czekaliśmy, nie zjawiały się. Rybacy posiadający czółna musieli je mieć starannie ukryte, bo za ich posiadanie groziła kara śmierci. Cofająca się armia niemiecka, zbliżająca się już do Wisły, chciała mieć czyste zaplecze dla oddziałów partyzanckich.**

Dobrze już po północy, wobec braku czółen, pluton nasz został skierowany w górę Wisły. Szliśmy gęsiego, potykając się na nierównościach terenu. Łuny nad palącą się

¹⁹ Brytyjski pistolet maszynowy

²⁰ Rodzaj powtarzalnego karabinu maszynowego

²¹ Ręczny karabin maszynowy

Warszawę widoczne były coraz wyraźniej. Zauważyłem, że zmieniliśmy kierunek marszu i zbliżamy się do samego brzegu rzeki.

Na tle tafli wodnej ujrzałem plamę - chyba jakiejś wyspy. Cicha komenda rozproszyła wątpliwości: „Rozbierać się! Ubranie, buty zamocować na szyi! Idziemy w bród!”

Jeden po drugim wchodzimy do wody. Przewodnik idzie pierwszy. Po paru minutach woda dochodzi mi do szyi. Czy wystarczy mi wzrostu? Zamoczyłem trochę węzełek z ubraniem. Ręce zaczynają mdleć od ciężkiego worka z amunicją oraz kurczowo trzymanego stena. Jeszcze parę kroków i woda robi się płytsza. Wreszcie dobijam do wyspy. Każą nam się ubrać. Zasztywamy się w wysokie wikliny. Wyciągam płócienny woreczek z cukrem kostkowym. Częstouję najbliższe otoczenie i sam jem parę kostek.

Oddziały miały pozostać na wyspie do czasu kontaktu z przewoźnikami. Cały oddział spędzał dzień leżąc w bezruchu, ponieważ nad ich głowami przelatywały często patrolujące Wisłę niemieckie samoloty zwiadowcze. Wieczorem batalion zaczął przeprowiać się już na zachodni brzeg rzeki, co opisuje Zbigniew Gregorowicz: *Pluton nasz przeprowiał się w ostatnim rzucie. Pojedynczo wchodziliśmy do wody, kierując się gęsiego do majaczących w ciemnościach czółen, które po pięć wozily przez nurt rzeki.*

Sekcja moja, wraz z sanitariuszką batalionu, sprawnie zajęła miejsca w czółnie. Prąd rzeki znosił nas mocno z kierunku przeprowy. Plutony, które już były na drugim brzegu, ubezpieczały nas. Kilkanaście metrów od brzegu, kazano nam pojedynczo opuszczać czółno. Pierwsza sanitariuszka. Już się przechyla, raptem – plusk! To buty, niewłaściwie zawiązane na szyi, spadają do wody. Mowy nie ma o ich odnalezieniu. Słychać cichy okrzyk z brzegu:

- Cicho tam, cholera!

Po tafli wody przesunęła się smuga reflektora. To w odległości około 200 metrów strażnicy niemieccy włączyli reflektor. Za nami nie było już żadnych czółen. Poza rozpaczą sanitariuszki z powodu utraconych butów, nie było żadnych innych konsekwencji.

Dużo szczęścia miał batalion „Legionowo”, ponieważ Wisła w tym miejscu była naprawdę dobrze patrolowana przez niemieckich lotników. Przeprowa nastąpiła w tym miejscu ze względu na kilka czynników: wąskość nurtu rzeki, korzystne ukształtowanie brzegów i ich zadrzewienie oraz, paradoksalnie, bliskość strażnicy niemieckiej – była ona w zasięgu ognia broni maszynowej akowców.

Przedostając się do Puszczy Kampinoskiej, Zbigniew Gregorowicz pozostawił jednak w Wiśniewie swoją matkę i siostrę. Nie oznacza to jednak, że nie objął ich troską, gdyż jak wspomina Jadwiga Strączek: *Powiedział do nas: Gdyby się wam coś stało, to tylko przejdźcie w Wiśniewie przez szosę i zgłóście się do dyrektora gimnazjum o tym i o tym nazwisku.*

Wyczerpani fizycznie i psychicznie żołnierze batalionu „Legionowo” przedostali się na drugi brzeg Wisły, gdzie czekali na nich przewodnicy i ponaglali do rychłego wymarszu w stronę Puszczy Kampinoskiej. Do przebycia było kilkanaście kilometrów.

Plutony maszerowały gęsiego w trzech rzędach – wspomina Zbigniew Gregorowicz. *Mijamy szereg zabudowań i ogrodów. Podobno w tej okolicy liczne gospodarstwa są w posiadaniu osadników niemieckich.*

Wysiętek dwudniowy mocno daje się we znaki. Po przeszło godzinnym marszu, krótki odpoczynek. Nie szukam specjalnego miejsca, lecz od razu kładę się na ziemi. Plecak pod głowę, a nogi możliwie najwyżej - lokuję je na worku z amunicją. Obowiązuje absolutna cisza, mowy również nie ma o paleniu papierosów.

Dowódca plutonu ręką daje znak do powstania i zajęcia szyku marszowego. Dopiero teraz czuję zmęczenie. Ale trudno, trzeba śpiesznym marszem przed świtem dotrzeć do rubieży Puszczy Kampinoskiej.

Po kilkudziesięciu minutach marszu, zarządzono specjalną ostrożność, a pluton nasz poszedł w przednim ubezpieczeniu. Jeden przewodnik idzie z nami, a drugi z zasadniczą kolumną. Wyciągam nogi coraz mocniej. Ubezpieczenie wyczerpuje nie tylko nerwowo, ale i fizycznie. Wydaje mi się, że idziemy już bardzo wiele godzin.

No, wreszcie las!

Na skraju Puszczy, batalion napotkał trzech kawalerzystów z oddziałów porucznika „Doliny”. Zdarzenie to wywołało w „Gromie” ogromną radość: Raptem przewodnik podnosi rękę i daje znak, żebyśmy padli na ziemię. Dopiero teraz zwróciłem uwagę - już się przejaśnia. Podczołgałem się do najbliższego drzewa i uważnie obserwuję przewodnika, który skokami dopadł zarośli, w których zniknął mi z oczu.

Chyba śpię i śni mi się! Szczypię się w policzek. Nie! To rzeczywistość! Przewodnik, w otoczeniu trzech polskich kawalerzystów w przedwojennych mundurach, zbliża się do nas. Wszyscy na koniach, w pełnym oporządzeniu i uzbrojeniu kawalerii z 1939 roku. Przypomniałem sobie, że ostatni raz regularne oddziały wojskowe polskie widziałem w pamiętnym wrześniu, podczas smutnej okoliczności przechodzenia ich przez granicę polsko-łotewską²².

Nie wytrzymał i, nie zachowując żadnej ostrożności, rzuciliśmy się w stronę naszych. Radość była szalona. Chłopcy zeskoczyli z koni, a my porwali ich w ramiona. Jednemu z nich zdjąłem czapkę polową, na której przypięty był nasz polski orzełek. Polówka wędruje z rąk do rąk. Każdy z kolegów chce się nacieszyć widokiem naszego pięknego i drogiego godła państwowego.

Chwilę zadumy przerywa przewodnik, który wskazuje na kierunek dalszego marszu. Kilkadziesiąt metrów dalej, spotykamy dalszych kilkunastu kawalerzystów, pod dowództwem wąsatego wachmistrza.

Byli oni zwiadem kawaleryjskim oddziałów porucznika „Doliny”. W skład tych oddziałów wchodziły między innymi cztery szwadrony kawalerii. Przewędrowali kilkaset kilometrów, ażeby wziąć udział w Powstaniu Warszawskim.

Po paru minutach, cały nasz batalion rozłożył się na obszernej polanie, natomiast kawalerzyści rozjechali się we wszystkie strony, aby nas ubezpieczyć.

Po przeprawie przez Wisłę i forsownym marszu, plutony odpoczywały po trudach poprzednich dwóch dni. Znajdowaliśmy się w wysokopiennym, sosnowym lesie – wspomina Zbigniew Gregorowicz. Patrole kawaleryjskie jednego ze szwadronów 27 pułku ułanów AK z Nowogródka, ze zgrupowania Nalibodzko - Stołpeckiego, dowodzonego przez porucznika Adolfa Pilcha („Góra”, „Dolina”), ubezpieczały batalion porucznika Bolesława Szymkiewicza („Znicz”). Do centrum warownego obozu powstańczego w Puszczy Kampinoskiej było jeszcze kilkanaście kilometrów. Praski pluton, dowodzony przez sierżanta podchorążego Stanisława Sękowskiego („Michał”, „Zbrucz”) wszedł

²² Por. rozdział I

w skład kompanii porucznika „Motora”, którą wspomina Zbigniew Gregorowicz: *Dowódca naszej kompanii prezentował się doskonale, jak zresztą pozostali oficerowie i żołnierze z Legionowa. Mundury mieli zdobyczne, niemieckie, z biało-czerwonymi opaskami. Większość zaopatrzona była w pałatki namiotowe, które przydały się podczas padającego deszczu w czasie przeprawy. W odróżnieniu od oddziałów z Legionowa, pluton praski posiadał w większości umundurowanie i broń zrzutowe angielskie. Część plutonu była wyposażona w broń niemiecką, którą stanowił 1 RKM i kilka stenów. Poza osobistymi plecakami, każdy żołnierz dźwigał amunicję, której ciężar, jak wspomina „Grom”, mocno dawał się we znaki w czasie przeprawy i marszu.*

Nastąpiło sprawdzenie stanu obecnych. Według Zbigniewa Gregorowicza grupa żołnierzy liczyła około 200 mężczyzn i 3 kobiety – łączniczki. Adolf Pilch, „Dolina”, podaje w swoich wspomnieniach, że oddział porucznika „Znicza” liczył dokładnie 15 oficerów i 170 szeregowych żołnierzy²³. Rozpoczęto marsz w kierunku miejscowości Wiersze, jednej z kilku leżących w głębi Puszczy Kampinoskiej wiosek, która była siedzibą dowództwa wszystkich oddziałów przebywających w całym kompleksie leśnym lub na jego obrzeżach.

Szliśmy coraz bardziej ociężałym krokiem. Po kilku kwadransach dobrnęliśmy do pierwszej wsi, w której ludność normalnie wykonywała jesienne prace polowe, gospodarze orali i bronowali pola pod nowe zasiewy. Tu i ówdzie ścieliły się dymy ze spalonych, suchych badyli, a wokół ognisk bawiły się gromadki małych dzieci. W opłotkach poszczególnych gospodarstw widać było wiele przedwojennych, polskich mundurów. Drogami poruszali się pojedynczy oficerowie i żołnierze, piesi i konni. Mijaliśmy również wojskowe podwozy, jadące w obu kierunkach. To normalne życie „pod polską flagą” było wielkim i radosnym zaskoczeniem dla Zbigniewa Gregorowicza.

Po dotarciu do Wiersz, plutony otrzymały czas na doprowadzenie się do porządku. Przed generalną zbiórką, dowódcy plutonów zrobili przegląd swoich oddziałów, każdy chciał wypaść jak najlepiej. „Grom” wspomina: *Swoim żołnierzom z praskiego plutonu 1681 narzuciłem określony system, rozpoczynając od odpowiedniego złożenia broni, plecaków i zasobników z amunicją, a kończąc na porządnym wyglądzie każdego z nich. Żołnierzom „harcerskiego pochodzenia” było znacznie łatwiej w partyzantce. Liczne ćwiczenia, współzycie z przyrodą, radzenie sobie w prymitywnych warunkach, umiejętności samarytańskie, pionierskie, łączności i terenoznawstwa, dawały dużą przewagę nad pozostałymi żołnierzami.*

Po zarządzeniu zbiórki przez porucznika „Znicza”, przeglądu oddziałów dokonał przybyły dowódca Kampinosu²⁴, major Alfons Kotowski („Okoń”). *Wygłoszone przez majora „Okonia” krótkie przemówienie nie przypadło mi do serca.*

²³ Adolf Pilch, „Partyzanci trzech puszczy”, wyd. Editions Spotkania 1992

²⁴ Grupa Kampinos powstała z oddziałów 8. Rejonu VII Obwodu „Obroza” (m.in. partyzantów czasowo stacjonujących w Puszczy Kampinoskiej) i żołnierzy oddziałów z Puszczy Nalibodzkiej, którzy przedostali się z Wileńszczyzny do Warszawy przed wybuchem walk powstańczych, czyli ponad 900 żołnierzy, dowodzonych przez porucznika Adolfa Pilcha pseud. Dolina.

Pierwsze wrażenie o tym dowódcy było negatywne – wspomina nowego przełożonego Zbigniew Gregorowicz.

Po przeglądzie batalion został skierowany na tymczasową kwaterę do wsi Truskawka. Wioska, oparta z południa o obszar leśny, dawała możliwość szybkiego przemieszczania się oddziału w kierunkach częstego zagrożenia nieprzyjaciela, zarówno ze wsi Janówek, jak i z Pociechy i Zaborowa Leśnego - wsi położonych na południu.

Ponieważ poszczególne plutony miały wyznaczone miejsca na przygotowanie dla siebie noclegu, potrzeba było pewnej ilości sprzętu saperskiego. „Grom” wspomina, iż polecono mu wypożyczyć łopaty z jednostki saperskiej stacjonującej w sąsiedniej wiosce i tak opisuje we wspomnieniach to zdarzenie: *W kwatermistrzostwie, po podpisaniu rewersu, „wyfasowałem” kilka łopat i w tym momencie pojawił się problem, jak się z nimi zabrać. Może jadące drogą wojskowe wozy pomogą przetransportować sprzęt do naszego batalionu? Byłem w błędzie. Leżące na poboczu drogi łopaty, w ilości przekraczającej możliwości transportu przez jedną osobę, nie budziły zainteresowania woźniców przejeżdżających furmanek. Nie pomogły dystynkcje kaprala podchorążego. W szkole uczono mnie zależności według stopni wojskowych, a tu spotkałem się z czymś zupełnie zaskakującym. Po kilku nieudanych próbach, zdenerwowany, wyciągnąłem Visa²⁵ i rozkazałem zatrzymanie furmanki oraz zabranie sprzętu, co żołnierz po krótkim wahaniu zrobił. Na rozstaju naszych dróg zabrałem łopaty i zostawiłem w pobliskim gospodarstwie - stąd było już blisko do naszych. Było to zachowanie, które, po zameldowaniu o nim oficerowi służbowemu, spotkało się z ostrą naganą dowódcy kompanii.*

Kolejnym zadaniem, jakie miał do wykonania Zbigniew Gregorowicz, był udział w odbiorze zrzutu alianckiego, do którego zgłosił się na ochotnika, wraz z kilkoma żołnierzami ze swojego batalionu. Jego dobrowolne zgłoszenie się do akcji świadczy o dużym entuzjazmie i zaangażowaniu w działalność akowską. Wydarzenie to wspomina w następujący sposób: *O późnej godzinie wieczornej zarządzono zbiórkę pod komendą główną w Wierszach. Dowódca operacji, porucznik „Jan”, poinformował o całej organizacji przedsięwzięcia. Zwrócił uwagę, że wychodzimy poza obręb terytorium objętego przez nasze oddziały, że obowiązuje absolutna cisza, zakaz palenia papierosów, używania latarek i pełna gotowość bojowa. Broń stanowiły głównie pistolety maszynowe. Podzielono nas na małe grupy, ja trafiłem pod komendę dowódcy.*

Noc była ciemna. Szliśmy gęsiego, zachowując jak najmniejszą odległość między sobą. W pewnym momencie skręciliśmy z drogi leśnej, w niskopienny zagajnik. Potykając się co chwilę o wystające korzenie, po kilku kwadransach, wyszliśmy z lasu. Gęsta mgła utrudniała widoczność. Zatrzymano nas i poszczególne zespoły zostały przejęte przez przewodników, którzy rozprowadzili partyzantów na odpowiednie posterunki zrzutowiska. Pomaszerowałem z porucznikiem „Janem” i dwoma żołnierzami do centralnego punktu operacji, gdzie znajdował się główny stos drewna, który miał zapłonąć w odpowiednim momencie. Inne stosy były przygotowane w ustalonym uprzednio porządku. Wszystkie wstępne przygotowania zorganizowała

²⁵ Polski pistolet samopowtarzalny

miejskowa placówka AK, która została zawiadomiona o miejscu i terminie zrzutu, po otrzymaniu informacji drogą radiową i przekazaną przez dowództwo zrzutów.

Każdy rajd alianckich samolotów próbował najpierw dokonać zrzutu w samej Warszawie, a jeśli zachodziły okoliczności zmuszające do korzystania z terenów okolicznych, to trzeba go było odbierać, między innymi na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej. Mocny ogień artylerii przeciwlotniczej, duże zadymienie nad palącym się miastem oraz zmniejszające się obszary zajmowane przez powstańców z przedłużającym się powstaniem, coraz częściej zmuszały lotników do dokonywania zrzutów poza Warszawą.

W pewnym momencie, prawie równocześnie, zapłonęły ogniska wytyczające obszar zrzutowiska. Porucznik „Jan” dawał sygnały alfabetem Morse’a, przy pomocy ręcznego reflektora, kiedy warkot silników zbliżających się samolotów stał się już bardzo głośny. Zrzutu dokonano z dosyć wysokiego pułapu, celem zmniejszenia ryzyka trafienia przez niemiecką artylerię. W kilku przypadkach spadochrony opadających zasobników nie otworzyły się i wtedy słyszeliśmy głośny szum, a w przypadku uderzenia o drzewo - donośny huk. Większa część zrzutu trafiła poza krąg ognisk. Poszczególne grupy zbierały pojemniki, których białe spadochrony były widoczne z daleka. Wszystkie były metalowe, trzyczęściowe, skręcane śrubami i opisane symbolami związanymi chyba z ich zawartością. Na brzegu lasu czekały na nie przygotowane wozy. Do świtu przeczesywaliśmy łąkę i pobliski las. Na jednej z sosen zawisł pojemnik na spadochronie zaplątany w gałęzie. Było już dobrze jasno, gdy akcja została zakończona, a dogaste ogniska zamaskowane. Wracaliśmy pełni wrażeń, choć mocno zmęczeni – „Grom wspomina przebieg akcji.

Całość zrzutu została przekazana kwatermistrzostwu dowództwa. Były w nim: broń, medykamenty, materiały sanitarne, jedzenie i umundurowanie.

Tego samego dnia, ustalono strukturę praskiego plutonu „Groma”. Zbigniew Gregorowicz znalazł się w drużynie plutonowego podchorążego „Romana”, gdzie został sekcyjnym. W skład sekcji wchodził: Jerzy Ostas („Wilk”), Aleksander Kasprzak („Marek”), Przemysław Marczewski („Zagłoba”), Zdzisław Kurowski i Zbigniew Jędrzak. Dowództwo batalionu ustaliło konkretny program szkolenia. Objął on ćwiczenia z bronią, łącznie ze strzelaniem, terenoznawstwo z umiejętnością posługiwania się mapami i szkicami oraz poznanie podstawowych elementów pierwszej pomocy, zwłaszcza przy ranach postrzałowych. Prowadzono też musztrę i elementy meldowania.

W niedzielę została odprawiona msza polowa. Ołtarz zbudowano z drewna brzoźowego, a do jego przybrania użyto materiału ze spadochronów. Msza święta została rozpoczęta modlitwą partyzancką: „O Panie, któryś jest na niebie...”. Zbigniew Gregorowicz wspomina także kazanie: *Odprawiający mszę kapłan, po ewangelii i kazaniu, zwrócił uwagę na zachowanie godności chrześcijanina w tak trudnym czasie, jakim jest walka z nieprzyjacielem. Wielu żołnierzy przystąpiło do komunii świętej, być może byli wśród nich tacy, którzy przyjmowali ją po raz ostatni w życiu. Po mszy odbyła się ceremonia ślubna pary partyzanckiej. Ona była ubrana w białą, jedwabną bluzeczkę z materiału spadochronowego, a on wystąpił w mundurze angielskim. Towarzyszyła im para świadków – kolegów, też w uniformach wojskowych – wspomina „Grom”.*

Po paru dniach pobytu we wsi Truskawka, batalion otrzymał rozkaz nowej lokalizacji. *Mieliśmy zmienić „Jerzyków” w Brzozówce. Był to oddział, który wykrwawił się mocno w walkach na Starym Mieście. Wieś, do której nas kierowano, była najbardziej na północ wysuniętą placówką, leżącą na otwartej przestrzeni o podmokłym podłożu. Z trzech stron była zagrożona przez oddziały nieprzyjaciela, a szczególnie z kierunku północnego, z miejscowości Kazuń, gdzie stacjonowała duża załoga wojsk niemieckich, posiadająca broń pancerną.*

Zmieniając oddział „Jerzyków” w Brzozówce, nie przewidywaliśmy zbliżających się tragicznych i rozstrzygających, dla całej grupy oddziałów Kampinosu, wydarzeń – wspomina Zbigniew Gregorowicz.

Brzozówka była lewym skrzydłem pozycji obronnej na linii wsi Janówek i Pociecha, w kierunku drogi Warszawa - Nowy Dwór i Wisły, znajdującej się za tą drogą. *Nie byliśmy skłonni do rozmów, Czuliśmy odpowiedzialność za wysuniętą placówkę, do której zmierzaliśmy. Był to czas, kiedy Zbigniew Gregorowicz stawał się coraz bardziej przygnębiony. We wspomnieniach z tego okresu przeplata się jego strach o najbliższych, świadomość beznadziejności walki w stolicy oraz całkowita obojętność zachodnich sojuszników i Rządu na Uchodźstwie.*

Negatywne odczucia „Groma” dobrze przedstawiają spisane przez niego wspomnienia, pełne wątpliwości i niepokoju: *Wyszliśmy z lasu, a przed nami łąki gdzieś porośnięte drzewami olch, pod nogami grząski teren - otoczenie zupełnie różne od typowego pleneru partyzanckiego. Po dwóch kwadransach, zbliżyliśmy się do pierwszej zagrody. Zupełny spokój i brak ludzi wydawał nam się dziwny. Był to jednak pozorny spokój i pozorna pustka. Przed pierwszą chatką wyszedł gospodarz bacznie nam się przyglądając. Co to za wojsko? Czy zostaną we wsi? Jak się będą zachowywać?*

Zza węgła wyszedł młody chłopak z białą-czerwoną opaską i karabinem przewieszonym przez ramię. Domyśliłem się, że był to wartownik ubezpieczający placówkę od strony puszczy. Zameldował się naszemu dowódcy batalionu i wskazał kierunek dalszego marszu.

W poszczególnych obejściach gospodarskich z rzadka tylko można było kogoś zobaczyć. Byli to raczej starzy ludzie. Ich chaty były bardzo biedne, a otoczenie zaniedbane.

Plutony zostały zakwaterowane w stodołach, w północnej części wsi. *Nasz sąsiad, pluton służbowy, od razu przystąpił do przejęcia chat bojowych, które znajdowały się w odległości kilkuset metrów od miejsca naszego postoju, na zachód i północ w kierunku wsi Sowia Wola i Łosia Wólka. Miejsca w stodole zostały przydzielone dla poszczególnych drużyn. Moja dostała w sąsiedztwie przedzielonym niską ścianką. Dawало to uczucie pewnej izolacji od innych drużyn, ale i niewygodę poruszania się.*

Porucznik Jan Raczkowski („Motor”) zapowiedział wzmożoną czujność oraz zakaz opuszczania zagrody. *Jedynie kilku partyzantów zostało oddelegowanych do budowy kuchni polowej. Pierwszy posiłek wydawał się bardzo niesmaczny, zupa miała smak i zapach gnilny – wspomina Zbigniew Gregorowicz - Po paru dniach większość z nas cierpiało na biegunkę, co miało smutne następstwa w sile bojowej plutonów. Służba sanitarna niewiele mogła zdziałać, nie mając żadnych środków dezynfekujących, poza pastylkami do odkażania wody.*

Do obowiązków batalionu należało zabezpieczenie przed uderzeniem niemieckim z północy. Niemcy dysponowali na tym odcinku bronią pancerną,

ale czaty bojowe akowskich partyzantów posiadały angielskie piaty²⁶. Oddziały niemieckie, przekonawszy się o tym, używały czołgów tylko z dalszej odległości.

Około 15 września 1944 roku, powstańcy byli świadkami dziennego przelotu wielu amerykańskich samolotów transportowych, w otoczeniu licznych myśliwców. Było to w momencie, kiedy Sowietci wyrazili zgodę na lądowanie samolotów alianckich na lotnisku w Połtawie, po dokonaniu dziennych zrzutów w Warszawie. Powstanie chyliło się ku upadkowi, a Stalin wiedział, że ta operacja nie zagrozi jego planom rozwiązania sprawy polskiej po swoim.

„Grom” zachorował na czerwonkę. *Czułem się coraz gorzej, czerwonka męczyła i z dnia na dzień odbierała siły. Starłem się jeść jak najmniej, ale to również osłabiało.*

20 września 1944 roku miało miejsce zdarzenie, które zaważyło na całym dalszym życiu Zbigniewa Gregorowicza. W trakcie obejmowania służby został on postrzelony w prawą rękę, znacznie powyżej łokcia. *Poczułem przejmujący ból, płatki zawirosowały mi przed oczami – wspomina.*

Bardzo niewiele wiadomo o samym momencie i okolicznościach postrzelenia, gdyż Zbigniew Gregorowicz zawsze niechętnie wracał do tego wydarzenia, lub też nie czynił tego wcale. Najprawdopodobniej jednak był to pocisk niemiecki, wystrzelony podczas jednego z podejść małych oddziałów nieprzyjaciela.

Niechęć do tych traumatycznych wspomnień potwierdza Małgorzata Gregorowicz: *On przez wiele lat, jak go poznałam, nie mówił na temat tego, co się stało w czasie wojny, na temat jego działalności. Był bardzo zamknięty w sobie i w ogóle na ten temat z nikim nie rozmawiał.*

Po założeniu prowizorycznego opatrunku, „Grom” został przewieziony do polowego szpitala partyzanckiego we wsi Krogulec.

Po opanowaniu szoku, zadawałem sobie gorączkowe pytanie, co będzie z moją ręką i do tego prawą – *wspomina* - Dyżurny lekarz zatamował krew, założył uciskowy opatrunek. Po kilku kwadransach przeniesiono mnie na tzw. stół operacyjny. Zebrało się kilku lekarzy. Obejrzelili ranę, kłuli igłą w palce pytając, czy coś czuję. Nie czułem nic i bardzo chciałem wierzyć, że to z powodu szoku.

Zaprowadzono mnie do chałupy, która w niczym nie przypominała szpitala. W izbie było nas trzech. Sąsiad miał przestrzelony pęcherz i inne rany, drugi niebezpieczną ranę uda. Nie zmrużyłem oka przez całą noc. Młoda sanitariuszka, Jadwiga, usiłowała mnie pocieszyć. Była żołnierzem polowego szpitala oddziałów z Puszczy Nalibodzkiej, świadczył o tym jej mundur wojskowy²⁷. Bardzo chętnie służył również pomocą młody chłopak Janek, który pełnił funkcję salowego, przynosił mi dużo dobrej angielskiej herbaty ze zrzutów.

Po ponownych oględzinach lekarskich, zapadła decyzja odwiezienia kilku rannych, w tym Zbigniewa Gregorowicza, do konspiracyjnego szpitala w

²⁶ Brytyjskie granatniki przeciwpancerne

²⁷ Wszyscy żołnierze oddziałów porucznika „Doliny” nosili polskie mundury wojskowe.

Laskach. Jako ciekawostkę chciałabym tu nadmienić, że kapelanem owego szpitala był późniejszy Prymas Tysiąclecia, kardynał Stefan Wyszyński.

Pojechaliśmy dwoma wozami, w towarzystwie dwóch sanitariuszek i dwóch młodych chłopców miejscowych, którzy powozili – wspomina „Grom” - Droga była bardzo uciążliwa. Każda nierówność wzmagala ból i pojękiwanie rannych, a towarzyszył temu niepokój, co będzie, jeśli za naszymi liniami napotkamy patrol nieprzyjacielski. W pewnym momencie chłopcy oddali sanitariuszom lejce i zniknęli w puszczy. Zostaliśmy w piątkę - bezbronni. Co nas czeka za zakrętem drogi? Dużo słyszeliśmy o okrucieństwach własowców.

Po jakimś czasie furmanki nagle stanęły. Co się stało? Podniosłem głowę i zobaczyłem w oddali drobną postać dziewczęcą wymachującą chusteczką. W chwilę później słyszymy: „Niemcy zajęli zabudowania szpitala - musicie wracać!”

Ucieszyłem się, nie zdając sobie wówczas sprawy, że powrót do warunków leśnych - to utrata ręki.

Wróciliśmy tą samą drogą.

W szpitalu lekarze dyskutowali nad tym, co zrobić z ręką Zbigniewa Gregorowicza. Przeważał pogląd amputacji, którego reprezentantem był dr „Kleszczyk”. „Grom” protestował, nieświadomy faktu, że w przypadku gangreny, która była prawie pewna w tych warunkach, będą trudności z utrzymaniem go przy życiu. *Długo nie mogłem zgodzić się z decyzją lekarzy. Przekonywał mnie podporucznik Mieczysław Smrek „Cicibor”, bez ręki, którą stracił w walkach 1920 roku, a przecież był w partyzantce, świetnie jeździł konno i doskonale strzelał. Nie miałem wyjścia, musiałem wyrazić zgodę. Przed operacją, posługi kapłańskiej udzielił mi kapelan z Pragi (chyba ksiądz Głęb), ten sam, który w 1942 roku odbierał moją akowską przysięgę. Poprosiłem go o przekazanie mojej Matce pamiątkowego złotego medalika – wspomina Zbigniew Gregorowicz.*

Operacja odbyła się w bardzo prymitywnych warunkach. Zbigniew Gregorowicz otrzymał zastrzyk ewipanu²⁸, a następnie maseczkę eterową. Po zabiegu męczyły go długotrwałe torsje, przy jednoczesnych rwących bólach.

Mimo wielkiego cierpienia, jakie przeszedł „Grom” w tym szpitalu polowym, wspomnienia o nim zachował bardzo ciepłe: *Cały zespół szpitalny, który stanowili głównie ludzie z Kresów, z szefową pomocniczych służb sanitarnych, panią Stanisławą Mejsnerową na czele, całym sercem i duszą oddany był rannym. To im zawdzięczam przeżycie najtrudniejszych dni po operacji.*

Po kilku dniach uczyłem się już pisać lewą ręką i cerować przetarte skarpetki, a niezłe efekty skutecznie podtrzymywały na duchu.

Rano, 25 września 1944 roku, miał miejsce nalot niemieckich samolotów bombowych na wieś Wiersze, gdzie znajdowało się dowództwo grupy, magazyny i radiostacje. Oddziały zostały rozcłonkowane, ale magazyny uległy w dużym stopniu zniszczeniu. Szkoła, w której znajdował się sztab i radiostacja, została całkowicie zniszczona. Krogulec nie był bombardowany, ale budynki, między innymi szpital, zostały ostrzelane z broni maszynowej. Rannych pośpiesznie wyprowadzono do ogrodu z obawy przed pożarem. *Kryliśmy się pod drzewami, przemieszczając się każdorazowo za pnie drzew, przed nowym nawrotem samolotów – wspomina „Grom”.*

²⁸ Lek uspokajający

W tym też czasie partyzanci z kompanii będącej na czacie bojowej we wsi Brzozówka zostali zaatakowani od strony Kazunia przez niemiecką kolumnę zmechanizowaną. Zadała ona powstańcom dotkliwe straty, zginęło dwóch żołnierzy, a trzech zostało rannych.

Liczne ataki niemieckie spowodowały pośpieszne opuszczenie puszczy. Jak się później okazało, decyzja o wymarszu całego zgrupowania nie była poprzedzona żadną naradą dowódców jednostek. Major „Okoń” nie przedstawił żadnej konkretnej wizji marszu. Usilne naleganie porucznika „Doliny” o konkretyzację planu pozostało bez żadnej reakcji.

W nocy z 27 na 28 września 1944 roku, uformowano kolumnę marszową, w której poza dwutysięcznym wojskiem, jechało ponad 300 furmanek wypełnionych amunicją, żywnością, medykamentami i różnym sprzętem. Na wozach leżeli ponadto chorzy i ranni żołnierze. Wśród rannych znajdował się Zbigniew Gregorowicz.

Czoło kolumny prowadził major „Okoń”, poprzedzony strażą przednią, złożoną z kawalerii i kompanii piechoty porucznika „Lawy”. Główny trzon kolumny stanowiła piechota, a za nią tabory. Szwadrony kawalerii ubezpieczały z boków, tylną strażą dowodził porucznik „Dolina”, mający do dyspozycji kawalerię z taczankami ciężkich karabinów maszynowych. Zbigniew Gregorowicz przemieszczał się na jednym z wozów przeznaczonych do przewożenia rannych żołnierzy, co opisuje w swoich wspomnieniach: *Droga była ciężka, posuwaliśmy się po piaszczystym terenie. Kolumna zmierzała w kierunku wsi Roztoka. Mijający nasze wozy żołnierze, którzy zostali wycofani po całodziennych walce, przyglądali się nam ze współczuciem. Pewnie myśleli: „Co ich czeka w najbliższych godzinach?” Z rzadka padały pytania o konkretnych rannych, ale długość kolumny wozów prawie uniemożliwiała znalezienie swoich.*

Nad ranem, po pokonaniu około 20 kilometrów w kierunku zachodnim od puszczy, a na północ od miejscowości Kampinos, zaszyliśmy się w las wysokopienny, obok wsi Bieliny. Wojsko było zmęczone całodzienną, wyczerpującą walką i wielogodzinnym nocnym marszem.

Do wozów z rannymi przyszli lekarze dla dokonania zmiany opatrunku. Mój miał poza krwią wiele ropy – zapewne skutek operacji wykonanej w prymitywnych warunkach. Po otrzymaniu gorącej herbaty i chleba z mięsem konserwowym (brazylijskim), zaspokoiliśmy głód i ułożyliśmy się do spania.

W popołudniowych godzinach krążył nad okolicą niemiecki samolot zwiadowczy, tzw. „rama”. Przygotowywano się do generalnej rozprawy z grupą Kampinos.

Pod wieczór sformowano kolumnę marszową na identycznych zasadach, jak poprzedniego dnia. Major „Okoń” nakazał marsz na południe. Odcinek ten pokonano bez styczności z nieprzyjacielem.

Zamysł skierowania grupy Kampinos na południe wymagał przekroczenia trzech ruchliwych dróg: z Warszawy do Sochaczewa oraz do Żyrardowa przez Grodzisk i przez Nadarzyn, a także dwóch linii kolejowych biegnących w kierunku Sochaczewa i Żyrardowa. Na każdej z nich należało spodziewać się styczności z oddziałami niemieckimi.

Do pierwszego starcia z nieprzyjacielem doszło koło Wilkowa, przy przekraczaniu traktu z Leszna do Kampinosu. W walce z przednią strażą,

niemiecka placówka została pokonana, pomimo ostrzału artyleryjskiego od strony Leszna. Kolumna, korzystając z ciemności, posuwała się bez większych strat. Za strażą tylną podążali Niemcy, zmuszając kawalerzystów do ciągłego odpowiadania ogniem karabinów maszynowych.

Po drodze część rannych pozostawiono w majątku Gawartowa Wola. Nie udało się tam pozostawić wszystkich poszkodowanych, w wyniku czego Zbigniew Gregorowicz dalej brał udział w marszu.

Rannym na wozie towarzyszyło uczucie niepokoju. *Od czasu do czasu wóz nasz mijali konni łącznicy, ponagłając do szybszego marszu. Łuny pożarów, odległe wybuchy pocisków i błyski rakiet potęgowały strach i poczucie bezradności – wspomina „Grom”.*

Straż tylna stoczyła gwałtowną walkę pod Łyszczówkiem, podczas gdy przód kilkukilometrowej kolumny podchodził do rzeki Utraty. Zbigniew Gregorowicz tak wspomina to wydarzenie: *Nieprzyjaciel rozpoczął ogień artyleryjski. Szwadron kawalerii przekroczył rzekę w pław i uderzył na wroga z dużym impetem. Tymczasem tabory z trudem posuwały się po moście. Tworzyły się zatory. Nie wiem, jakim cudem nasz wóz przejechał bez przeszkód na drugą stronę rzeki. Wobec zwiększającego się naporu Niemców na straż tylną, część wozów zjechała wprost do rzeki. Wiele z nich ugrzęzło w sitowiu, Nie pomogły starania żołnierzy - naładowane amunicją wozy zostają w przybrzeżnym mule.*

Smugi pocisków świetlnych oświetlały niebo, a ich tor wskazywał pozycje nieprzyjaciela. Jechaliśmy między palącymi się stogami zboża i siana. Od czasu do czasu padały konie, a rozbite wozy tarasowały drogę. Sanitariuszka, Jadwiga, biegnąc koło wozów, ponagłała powoźczych chłopców do pośpiechu.

W pewnym momencie jeden z nich, podczas krótkiego postoju kolumny, usiłował wyprząc konia i uciec. Widząc to Jadwiga wyciągnęła z kabury pistolet i z krzykiem: „Możesz uciekać, ale wara od konia, bo inaczej strzelam” - chwyciła za lejce. Chłopicz zniknął.

Z pewnymi stratami udało się kolumnie sforsować rzekę Utratę.

Szose Warszawa - Sochaczew pokonano w ogniu walki z czołgami i wozami pancernymi. Część niemieckich wozów bojowych spłonęła, pozostałe wycofały się na boki rażąc ogniem z dużej odległości.

Rano, 29 września 1944 roku oddziały grupy Kampinos zbliżały się do torów kolejowych linii Warszawa - Żyrardów. *Zjechaliśmy z drogi biegnącej łąką porośniętą olszyną - w sosnowy zagajnik. Koła wozów grzęzły w piasku. Konie były już bardzo zmęczone. Od czoła dały się słyszeć głosy, że widoczne są już tory kolejowe. W tym czasie szpica kawaleryjska, niedaleko wsi Budy Zosine, wzięła do niewoli kilkunastu Niemców, bez jednego wystrzału.*

Major „Okon” zarządził w tym czasie zatrzymanie straży przedniej w celu zebrania całości oddziałów kolumny rozciągniętej na długości kilku kilometrów. Do torów kolejowych było kilkaset metrów, a za nimi rozciągał się las. Łatwo zauważyć, że miejsce wybrane na postój było wysoce niefortunne. Czas wypoczynku zarządzony przez majora „Okonia” wystarczył Niemcom na ściągnięcie posiłków. Przed wkroczeniem do akcji głównej grupy

operacyjnej „Sternschuppe”²⁹, weszła do walki grupa „Bernard” pułkownika Koniga. Ściągnięte oddziały pancerne liczyły około 50-60 czołgów oraz bataliony SS i policji. Ponadto użyto jednostek artylerii i lotnictwa. Teren był płaski i otwarty, bez żadnej osłony.

Gdy major „Okoń” zdecydował się na dalszy marsz, a było to przed godziną jedenastą, byliśmy całkowicie otoczeni, a dobra widoczność nie sprzyjała obrońcom. Zbliżając się do torów zostaliśmy zaskoczeni odgłosem jadącego do Jaktorowa pociągu pancernego, który rozpoczął nawałę ogniową – *wspomina „Grom”*.

Zbigniew Gregorowicz, ze względu na obrażenia, nie brał czynnego udziału w walce, ale przyglądał się jej z wozu taborowego. Wozy zbliżyły się do torów na odległość około 300 metrów i musiały natychmiast zawracać. Tabory były także ostrzeliwane przez samoloty niemieckie typu Dornier, lecące na bardzo niskim pułapie.

Siostra Jadwiga, popędzając woźniców, skierowała część taborów do niskiego lasu na obrzeżu Międzyborowa. Kiedy dotarliśmy między pierwsze drzewa, samoloty nadlatujące ponownie, ośmielone brakiem reakcji z naszej strony, zniżyły pułap lotu do maksimum. Niektórzy żołnierze rozpoczęli bez komendy strzelać z broni maszynowej. W pewnym momencie jeden z samolotów został zestrzelony. Fakt ten wywołał szal radości – *opisuje w swoich wspomnieniach Zbigniew Gregorowicz*.

„Grom”, widząc beznadziejność sytuacji, poprosił sanitariuszkę Jadwigę o pozostawienie go w najbliższej wiejskiej zagrodzie - odradzała mi, a ja obstawałem przy swoim, tłumacząc, że jestem tylko ciężarem dla walczących. Zostałem w przygodnej chałupie. Wyjaśniłem gospodarzowi, że mam dobre dokumenty, a moi i tak za parę dni przyjdą po mnie. Miałem ze sobą plecak, opaskę powstańczą i rzeczy osobiste. Plecak i opaskę poleciłem schować. Jadwiga zostawiła mi opatrunki na zmiany, i, choć niechętnie, oddaliła się z taborem oraz pozostałymi rannymi.

Po południu, ku mojemu zaskoczeniu, wróciła konno namawiając do powrotu. Tłumaczyła, że nasze oddziały zajęły pozycje obronne, że powinienem razem z kawalerią przebijać się nocą na drugą stronę torów, zapewniała, że pomoże w transporcie. Oczywiście byłoby to szaleństwem, więc nie wyraziłem zgody. Poprosiłem tylko o zmianę opatrunku i wtedy zobaczyłem przez okno zbliżającą się nieprzyjacielską tyralierę. Jadwiga zdążyła dopaść konia i galopem oddaliła się wraz z towarzyszącym jej ułanem.

Gospodarze goszczący Zbigniewa Gregorowicza byli przerażeni bliskością frontu. Zapalono gromnicę i klęcząc przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej odmawialiśmy głośno litanię – *wspomina „Grom”*.

Niedługo potem pojawili się Niemcy. Wpadli do izby, z wyciągniętymi pistoletami krzycząc: „Hande hoch!” – *opisuje ich przybycie Zbigniew Gregorowicz* - Staliśmy w czwórkę pod ścianą - gospodarze z synem i ja, a Niemcy przeszukiwali wszystkie pomieszczenia. Młody podporucznik łamaną polszczyzną zapytał, gdzie są partyzanci. Wzruszamy ramionami rozkładając

²⁹ Operacja „Sternschuppe”, inaczej „Spadająca Gwiazda”, miała na celu zniszczenie oddziałów partyzanckich w Puszczy Kampinoskiej.

ręce. Wybiegli do następnej zagrody. Gdzieś blisko padł pocisk z granatnika, słyhać jęki, a za chwilę widać płonąca stodołę.

Co jakiś czas dochodziło do nas gromkie „hurra”, któremu towarzyszyły intensywne salwy karabinów maszynowych.

Całą noc wsłuchiwałem się w słabnąca strzelaninę, której towarzyszyły przekazywane przez megafony informacje w języku polskim o uznaniu nas za kombatantów i bezsensownej walce.

Nad ranem ucichły strzały. Niemcy przeczesywali teren, wyciągając z różnych zakamarków rannych żołnierzy. Dzięki uwolnieniu w czasie walki jeńców niemieckich, nasi ranni wzięci do niewoli byli traktowani przyzwoicie. Rannych kierowano do szpitala cywilnego w Żyrardowie.

Następnego dnia do gospodarstwa znów przybyli Niemcy. Było to dwóch oficerów gestapo. Kazali pokazać dokumenty. Przy mnie zatrzymali się dłużej, pewnie spowodowały to zakrwawione bandaże – wspomina Zbigniew Gregorowicz. Z pewnością zostałby on zatrzymany, gdyby nie posiadał kennkarty, z podbitą adnotacją z „Ortskomendantur Winnica”, którą uzyskał podczas przymusowej pracy w czasie budowy mostu na Wiśle, powyżej Wiśniowa. Z kolei utratę ręki tłumaczył bombardowaniem przez samoloty sowieckie, podczas którego rzekomo został ranny i wędruje do jakiegoś cywilnego szpitala. „Grom” wspomina reakcję niemieckiego funkcjonariusza: Jeden z nich popatrzył mi w twarz i powiedział: - Wy wszyscy jesteście bandyci.

Tą, szczęśliwie dla Zbigniewa Gregorowicza zakończoną, sytuację wspomina jego siostra, Jadwiga: I on właśnie tam był złapany przez Niemców, ale miał ten ausweis, gdzie było napisane – budowa przy mostach pontonowych, i tym się tłumaczył.

Po przejściu frontu, „Grom” piechotą udał się do żyrardowskiego szpitala. Jadwiga Strączek wspomina, że jej brat zgłosił się do placówki jako osoba prywatna. I w tym szpitalu zastał kolegów, którzy byli porażani i posiekani. Jego trzeba było ratować – opowiada podczas rozmowy. Po pobycie w szpitalu we wsi Krogulec, szpital w Żyrardowie wydał mi się pałacem – wspomina Zbigniew Gregorowicz. Istotnie był to obiekt czysty i zadbane, o dużej ilości fachowego personelu. Lekarz dyżurny przywitał „Groma” słowami: „A ty jesteś tym, któremu maszyna w Wiskitkach urwała rękę”. Byłem mu bardzo wdzięczny, że nie musiałem się w ogóle odzywać, skinąłem twierdząco głową i tak, po wpisaniu do księgi mojego nazwiska, miejsca i daty urodzenia, przyjęto mnie do szpitala – wspomina Zbigniew Gregorowicz.

Dzięki temu, że na terenie Żyrardowa działała dobrze rozprzestrzeniona siatka akowska, dostarczono do szpitala informację, że Niemcy przygotowują spisy rannych, którzy mają być przetransportowani do szpitala więziennego w Skierniewicach.

Została zaplanowana akcja ewakuacyjna. Przewodniczył jej Jan Przybyłowski, który już wcześniej ofiarował rannym swoją życzliwą pomoc, a mianowicie przynosił do szpitala domowej roboty żywność, czy też zabierał listy. Zbigniew Gregorowicz opisuje w swoich wspomnieniach przygotowania do owej ucieczki: *Któregoś dnia zostałem przez pana Jana poinformowany, że wieczorem mam być przygotowany do ucieczki. Mieliśmy wychodzić zabierając ubrania, według ustalonej kolejności, pojedynczo lub parami na werandę, znajdującą*

się w tylnej części szpitala, wychodzącą na mały park szpitalny. W ten sposób byliśmy poza obserwacją stałego posterunku Wehrmachtu, który nas pilnował.

Odbierali nas ludzie, u których mieliśmy przygotowane zakwaterowanie. Wraz ze starszym ode mnie wiekiem oficerem z kawalerii, zostałem zabrany do państwa Przybyłowskich. Przemykaliśmy się bocznymi uliczkami, bo już było po godzinie policyjnej. Kolega z kawalerii miał postrzał płuc i nie mógł szybko iść. Co jakiś czas prowadzący zatrzymywał się i lokował nas w przygodnej bramie.

Tego samego dnia uratowano kilkunastu innych więźniów. Akcja ta była ogromnie ryzykowana dla ludzi, którzy ją organizowali, jak również tych rodzin, które przyjmowały uciekinierów. Wszystkim, łącznie z uciekającymi groziła śmierć.

Zbigniew Gregorowicz powiadomił o swoim pobycie w Żyrardowie najbliższą rodzinę. Opowiada o tym jego siostra: *Napisał do swojego ojca chrzestnego, do Radomska, że on jest po amputacji prawej ręki, że on się znajduje w szpitalu w Żyrardowie i bardzo się niepokoi, co jest z nami.*

Mimo ogromnych trudności, matce „Groma” - Stefanii oraz jego siostrze Jadwidze udało się dostać do Żyrardowa. Obie były bardzo słabe i głodne. *Ja się z twoim dziadkiem nie zobaczyłam, tylko mnie wzięto na izbę przyjęć. I od razu położono mnie i dano mi bardzo dużo ampułek glukozy i soli, dożylnie. No, ale mama moja się udała do doktora szpitala. Zapytał się, kto pani jest, ona mówi „Ja jestem matką, tu jest kartka od mojego syna, podobno leży na oddziale w tym szpitalu”, a on mówi „Proszę panią, niestety. Pani syna już tu nie ma.” Mama się podobno strasznie zdenerwowała i rozplakała, on powiedział „Niech pani nie płacze, pani syn został przeniesiony pod taki i taki adres.” Jeszcze musiał zbadać, kto mama jest. Bo się bał czy to nie jest sprawa szpiclowska – wspomina Jadwiga Strączek.*

Po otrzymaniu adresu pobytu Zbigniewa Gregorowicza, obie kobiety zostały poprowadzone do rannego przez portiera zakładów żyrdowskich. *I myśmy szli takimi ulicami, i szli, szli, szli, przyszliśmy do nich i to było jakieś wejście wąskie, w takiej biednej chałupie, w tym Żyrardowie, jakieś takie prymitywne białe drzwi, jakiś taki skobel, stało jedno łóżko, drugie łóżko, a kuchenka była taka mała, taki piecyk. Ja patrzę, a tam on leży – siny i z takim kciukiem... Widok był straszny. Ja już zemdlalam, mama moja zaczęła płakać, krzyczeć. Na drugim łóżku leżał taki oficer, który nie miał nogi, jednej czy dwóch. Wiem, że oni się opiekowali – karmili, golili, wysadzali i tak dalej... – nic dziwnego, że rozmowa z siostrą Zbigniewa Gregorowicza na te tematy była pełna wzruszeń i emocji - Chodziło o to, żeby zabrać go spod linii frontu, bo zaczął się zbliżać front do Żyrardowa. Żeby po prostu ich tam nie zdziesiątkowali. I postanowiła matka, że go zabierze do szpitala, zresztą to chyba było tak uzgodnione z tymi rodzicami chrzestnymi, że jego się zabierze do szpitala, do Radomska, bo dowódcą ogromnej potacji akowców, był właśnie jego ojciec chrzestny, który dostarczał jedzenie do puszczy, do tej partyzantki. To był widok godny pożalowania i podziwu, jak on wsiadał w dorożkę. Zbyszek chciał się do pociągu dostać i my też. Był bardzo dzielny. On jakoś się dostał do tego pociągu, zabrali go pocztowcy, ale martwił się z kolei, jak ja z matką się dostaniemy, bo było strasznie dużo ludzi. Ale wsiedliśmy i jakoś dojechalśmy.*

Sam „Grom” opisuje w swoich wspomnieniach pewien ciekawy epizod dotyczący swojego wyjazdu do szpitala w Radomsku: *Wsiadając do dorożki zostaliśmy zaskoczeni następującym faktem. Podbiegła do nas jakaś niewiasta i*

wręczyła mi torebkę z winogronami z następującymi słowami: „To dla polskiego żołnierza”. Byłem niestęchanie zaskoczony i tylko wyrwało mi się jedno słowo – dziękuję. Skąd wiedziała, że jestem żołnierzem? Że wyjeżdżamy na stację? Żyrardów był małą mięściną. Trudno było utrzymać coś w tajemnicy.

Po przyjeździe do Radomska, Zbigniew Gregorowicz został umieszczony w tamtejszej placówce leczniczej. Jego stan nie ulegał poprawie, miał ciągle wysoką gorączkę. W grudniu jego lekarz prowadzący, doktor Oczkowski, zawyrokował operację reamputacji i skrobania kości. Nie było żadnej dyskusji, ani mojej zgody na ten werdykt. Po czynnościach rutynowych, zostałem mocno związany pasami do stołu operacyjnego i uspiony eterem. Obudziłem się mocno zamroczony, w momencie przywiezienia z powrotem na zbiorczą salę. Przy próbie samodzielnego przemieszczenia się z wózka na łóżko, o mało nie spadłem na podłogę. Dzięki rozwadze pielęgniarki, wylądowałem na łóżku – pomogli mi koledzy z sali. Po stosunkowo krótkim czasie, doznałem strasznego bólu, przy jednoczesnych uciążliwych torsjach. Szpital praktycznie nie dysponował żadnymi środkami przeciwbólowymi. Dramat walczącego teraz już tylko z własnym cierpieniem powstańca, świetnie, acz okrutnie opisują jego słowa: Z bólu, stopami wyginałem pręty żelazne w łóżku szpitalnym.

Noc po operacji była decydująca o mojej rekonwalescencji. Będąc bardzo osłabionym, nie czułem upływu dużej ilości krwi. Rano salowa widząc mój stan, wezwała lekarza dyżurnego, który podniósł koc i stwierdził, że leżę w plamie ciemnej krwi. Zabrano mnie na salę operacyjną, dla dokonania zmiany opatrunku. Usłyszałem taką wypowiedź: „No, masz szczęście, że to był krwotok żylny, a nie tętniczy, bo nie doczekałbyś ranka”.

Po operacji, stan rannego stosunkowo szybko się ustabilizował, gorączka spadła, a rana goiła się prawidłowo. Lekarze chwalili mnie za przetrzymanie krwotoku tak, jakby to była moja zasługa – wspomina „Grom”.

Zbigniew Gregorowicz został wypisany ze szpitala w dniu swoich 21 urodzin, 4 stycznia 1945 roku. Skierowano go następnie na rekonwalescencję do Radziechowic, leżących na północ od Radomska. Gospodarze, związani z Armią Krajową, bardzo troskliwie się mną zaopiekowali. Wracały mi siły i zdrowie na dobrym powietrzu i wiejskim wikcie – wspomina bohater pracy.

Jadwiga Strączek opowiada, że jej brat, będąc w szpitalu, miał myśli samobójcze. Czytać czytał, ale pisać nie pisał. Nie widział żadnej przyszłości przed sobą, co się z nim stanie. Miał przecież te swoje 20 lat – tak poważne kalectwo było niewyobrażalnie okrutnym cierpieniem dla młodego człowieka. Jak później orzekła Komisja Rewizyjno – Lekarska przy Starościu w Gliwicach³⁰, z dnia 30 kwietnia 1946 roku: Stan po amputacji ramienia prawego powyżej 1/3 górnej części. Uszkodzenie zdrowia powstało bez własnej winy, w czasie i wskutek służby wojskowej w armii polskiej. Inwalida należy do inwalidów z armii polskiej na wojnie. Uszkodzenie zdrowia powoduje 75% utraty zdolności zarobkowych, z czego na służbę wojskową 75%. Na stałe od 01.12.1945 roku. Związek cierpienia ze służbą wojskową przyjęto na podstawie zaświadczenia Szpitala Tow. Zakł. Żyrardów z 11.10.1944 i Szpitala Powiatowego w Radomsku z 04.01.1945 roku.

³⁰ załącznik III

„Grom” powrócił do Warszawy jeszcze w styczniu 1945 roku. W zniszczonej stolicy ukończył liceum i zdał maturę. W szkole i poza nią spotkał wielu kolegów z Armii Krajowej. Wielu z nich rozważało ujawnienie się przed Komisjami Likwidacyjnymi Armii Krajowej, pewna część żołnierzy wstąpiła do 1 Armii i brała udział w walkach na Wale Pomorskim.

Jadwiga Strączek wspomina, że sam Zbigniew Gregorowicz miał wiele wątpliwości, co do ujawnienia się: *On się boi ujawnienia. Ale doszedł do wniosku, że na Pradze, na której się znalazł już po wkroczeniu wojsk rosyjskich i polskich, boi się, że ludzie, którzy go znali z akcji na Pradze, wydadzą go ubowcom. I on się bardzo zastanawia nad ujawnieniem, ale boi się, że jeśli się nie ujawni, to ktoś go wyda i go aresztują.* Potwierdza to „Grom” pisząc w swych wspomnieniach: *Ludzie ulic Kawęczyńskiej, Radzymińskiej, Łochowskiej i Otwockiej, widzieli mnie dowodzącego oddziałem AK, po rozpoczęciu powstania.*

Ponadto, Zbigniew Gregorowicz dowiedział się o tym, że na terenie powiatu radomskiego, duża grupa akowców pozostała w konspiracji, usłyszał również o działalności „Warszyca”³¹.

Dodatkowo o podjęciu decyzji o ujawnieniu zdecydowały zapewne jeszcze dwa bardzo ważne czynniki – konieczność zalegalizowania inwalidztwa wojennego oraz chęć podjęcia studiów.

Te argumenty spowodowały, że w ostatnim dniu działania komisji, to znaczy 13 października 1945 roku, Zbigniew Gregorowicz stawiał się w budynku BGK, przy ulicy Aleje Jerozolimskie, przed Komisją Obszaru Centralnego, w której z ramienia AK uczestniczył pułkownik Radosław Mazurkiewicz. „Grom” miał przy sobie swoje papiery akowskie, poświadczone przez dowódcę V Rejonu Praga, pułkownika Zygmunta Bobrowskiego. W wyniku ujawnienia się, Zbigniew Gregorowicz otrzymał zaświadczenie³² z wypisanym stopniem podporucznika Armii Krajowej, z którym zgłosił się do Ministerstwa Obrony Narodowej, gdzie zweryfikowano mu stopień oficerski.

Z ciężkim sercem wchodziłem do gmachu, a niski numer mojego zaświadczenia (nr 2021), dużo dawał mi do myślenia – w ten sposób Zbigniew Gregorowicz podsumowuje swoje wspomnienia z tego okresu. Z tych słów jasno wynikają jego wyrzuty sumienia, co do tego, że ujawniając się dał swoje moralne przyzwolenie na nowy, na wzór radzieckiego, porządek, jaki miał zapanować w powojennej Polsce.

Walcząc zarówno w powstaniu warszawskim, jak i w Puszczy Kampinoskiej, „Grom” ukazuje swoje wielkie oddanie sprawom ojczyzny. Obiektywnie rzecz biorąc, działania te były skazane na niepowodzenie militarne, ale w sensie moralnym stanowiły chlubny przykład niepokorności wobec okupanta.

Dla Zbigniewa Gregorowicza wojna skończyła się wielką tragedią osobistą – wchodził w dorosłe życie bez prawej ręki – jako inwalida³³.

³¹ Pseudonim Stanisława Sojczyńskiego, twórcy powojennego Konspiracyjnego Wojska Polskiego.

³² załącznik IV

³³ załącznik V

IV

Uczelnia i praca z młodzieżą

„Jeżeli wy kochacie to, co kocha młodzież, to młodzież będzie kochać
to, co wy kochacie”
św. Jan Bosco

Po powrocie do Warszawy i ujawnieniu, Zbigniew Gregorowicz nawiązał kontakt z akowcami oraz dyrektorem Gimnazjum nr 8 im. Władysława IV, profesorem Usarkiem, do którego w czasie okupacji uczęszczał na konspiracyjne komplety. Szkoła wznowiła pracę pod koniec marca 1945 roku. Drugie klasy licealne, w oparciu o skrócony program nauczania, rozpoczęły przygotowania do matury, która miała się odbyć w lipcu tego samego roku. *Nasze męskie liceum miało zajęcia w jednym z domów przy ulicy Kawęczyńskiej – wspomina „Grom”.* Jego siostra, Jadwiga Strączek, opowiedziała mi, iż w trakcie tej nauki, chemii uczył go bardzo dobry profesor, dlatego zainteresował się tym przedmiotem i zdobył wiele wiadomości.

Obok nauki mieliśmy różnego rodzaju zainteresowania – opisuje w swych wspomnieniach Zbigniew Gregorowicz - utworzyliśmy nieformalne koło literacko – historyczne, do którego należały maturzystki i maturzyści obu praskich liceów³⁴. Zbieraliśmy się kolejno w różnych mieszkaniach. Na te spotkania przynosiliśmy, jeśli ktoś miał, bułki, kanapki, którymi zajmowały się koleżanki, przygotowując dla wszystkich podwieczorek. Na tych spotkaniach odbywały się prelekcje i dyskusje literackie lub historyczne. Prym wiodł Zygmunt Lichniak, który czytał swoje wiersze, wzorowane na poezji Słowackiego. Utworzyliśmy pierwszy zespół estradowy, który tworzyli koleżanki i koledzy. Wystawialiśmy składanki własnych skeczy, wierszy, utworów fortepianowych i kwartetu rewelersów³⁵, którego byłem uczestnikiem. Pieśń „Warszawo, ty moja Warszawo” uczyniliśmy szlagierem śpiewanym i granym we wszystkich kawiarniach, restauracjach i wędrownych zespołach podwórkowych.

Matura zbliżała się szybko. W maju do klasy „Groma” dołączył Leszek Modliński, który dopiero wrócił z obozu koncentracyjnego w Stuthoffie. Był na tyle zdolny i pracowity, że zdołał nadrobić zaległy materiał. Zbigniew Gregorowicz otrzymał świadectwo maturalne opatrzone numerem „1”, z datą 17 lipca 1945 roku.

Po zdaniu egzaminu maturalnego, przyjechał on do Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie mieszkały jego matka i siostra. Według wspomnień Jadwigi Strączek: *Twój dziadek hart ducha miał. Powiedział: „Mamo, zadecydujesz ty. Jeżeli ty powiesz, że ja mam być dozorcą w jakiejś fabryce, bo ja nie mam ręki i ledwo piszę, to ja będę tym dozorcą, a jeżeli wy się utrzymacie same i będziesz dbała o Jagusię i będziesz zarabiała...”* Moja mama powiedziała: *„Nie martw się dziecko, ucz się. Jak ty sobie poradzisz?”, on odpowiedział: „Ja sobie jakoś poradzę, grunt żebyście wy sobie poradziły”.* Losy swoje wziął w swoje własne ręce.

Postawa taka świadczy o jego trosce o losy swoich najbliższych, a jednocześnie o chęci walki i pokonania własnej słabości, jaką było dla niego inwalidztwo. Chciał podjąć próbę normalnego życia.

Sam Zbigniew Gregorowicz wspomina, że długo zastanawiał się, co będzie robił po maturze. *Możliwości moje nie były za duże wobec nabytego inwalidztwa – wspomina - Koleżanka z liceum, Jadwiga Tomaszewska, zaproponowała mi pomoc. Ojciec jej był nadleśniczym na terenie Śląska i miał znajomych w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego (SGGW) w Warszawie, na wydziale leśnym. Zaproponowano mi studia na tym wydziale, obiecując stypendium i łóżko na zbiorowej*

³⁴ Męskie Gimnazjum nr 8 im. Władysława IV oraz żeńskie Gimnazjum nr 12 im. Marii Skłodowskiej Curie, na Saskiej Kępie.

³⁵ Męski zespół wokalny, występujący z repertuarem muzyki rozrywkowej.

sali SGGW, przy ulicy Rakowieckiej. Pomyślałem, że po partyzantce, ta praca w leśnictwie będzie stosowna w mojej sytuacji życiowej.

Z oferty skorzystałem, dostałem stypendium i przyrzeczenie łóżka na zbiorowej sali, po rozpoczęciu roku akademickiego. Wysłano mnie od razu na pierwszą praktykę leśną do Rogowa koło Skierniewic. Stacja doświadczalna w Rogowie leżała wśród pięknych mieszanych lasów. Budynki mieszkalne, sale wykładowe i internat były luksusem na warunki warszawskie. Mile wspominałem pobyt w tym ośrodku doświadczalnym wśród przypadkowych, ale bardzo życzliwych kolegów. Do naszych zadań należało pielenie szkółek leśnych od chwastów.

W czasie pobytu w Rogowie, Zbigniew Gregorowicz dowiedział się o otwarciu nowej uczelni, Politechniki Śląskiej w Gliwicach, z czterema wydziałami – w tym chemicznym. W gimnazjum w Grodnie, jak i w liceum na tajnych kompletach w Warszawie, miałem wspomniałych pedagogów z chemii. Bardzo chemię polubiłem – opisuje we wspomnieniach.

Będąc człowiekiem niezwykle ambitnym, ale licząc się z wielkimi trudnościami, jakie mogą go napotkać na technicznej uczelni, zdecydował się jednak podjąć próbę zdawania egzaminu wstępnego na Wydział Chemiczny Politechniki Śląskiej, mając w rezerwie leśnictwo.

Zbigniew Gregorowicz udał się do Gliwic pociągiem - *Nad ranem wylądowałem na dworcu w Katowicach. Dalszą drogę do Gliwic odbyłem tramwajem. Duże wrażenie zrobiły na mnie liczne zakłady przemysłowe, które mogłem obserwować z tramwaju. Między Zabrzem, a Gliwicami, zacząłem się zastanawiać gdzie wysiąść. Nikt w tramwaju nie orientował się, gdzie znajduje się politechnika. Poradzono mi wysiąść przy dworcu kolejowym. Od dworca rozpoczynała się główna ulica, dawna Wilhelmstrasse, obecnie Zwycięstwa. Pomimo że był już sierpień, wygląd ulicy robił dziwne wrażenie. Moc powybijanych szyb wystawowych, walające się portrety Hitlera i moc jakiś niemieckich papierów. Doszedłem do rzeki Kłodnicy, gdzie ktoś skierował mnie w kierunku ulicy Częstochowskiej. Po drodze, idąc ulicą Kłodnicką, wstąpiłem do parterowego mieszkania w budynku nr 8 lub 10, gdzie przyjęto mnie życzliwie i umożliwiono wymycie się i odświeżenie po całonocnej jeździe. Starsza kobieta, autochtonka, przygotowała dużą miednicę z gorącą wodą i życzliwie wypytywała, co skłoniło mnie do przyjazdu do Gliwic. Już nie pamiętam czy poczęstowano mnie czymś? Mój płaszcz wojskowy na pewno budził nieufność. Szybko się zebrałem, chowając przybory toaletowe do wojskowego plecaka i wybyłem z mieszkania.*

Sekretariat rektora mieścił się w parterowym mieszkaniu przy ulicy Częstochowskiej 19. Zbigniew Gregorowicz złożył w jego gabinecie podanie, wraz ze świadectwem maturalnym, oraz został poproszony o przedstawienie swojego krótkiego życiorysu. Tak wspomina to wydarzenie: *Byłem tak przejęty całą sprawą, że w życiorysie napisałem datę urodzenia 1945 rok!* - Przeczytał o tym ze zdumieniem po wielu dziesiątkach lat, w swoich aktach personalnych.

„Grom” otrzymał jeden z pierwszych politechnicznych indeksów³⁶ – o numerze 81. Wykładowcom i pozostałym studentom trudno było uwierzyć, że tak nie w pełni sprawny człowiek jest w stanie uczyć się na technicznym kierunku wymagającym tyle precyzji.

³⁶ załącznik VI

Jadwiga Strączek wspomina reakcję profesora Wiktora Jakóba³⁷, wykładowcy Wydziału Chemicznego, na kalectwo swojego podopiecznego: *I ten profesor Jakób powiedział: „Człowieku, gdzie ty przyjechałeś? Przecież ty nie masz ręki”, a on powiedział³⁸: „Panie profesorze, proszę mi dać szansę jednego semestru. Ja próbować będę”.*

Świadczy to o wielkim samozaparciu Zbigniewa Gregorowicza i chęci przezwyciężenia swojego kalectwa. Starał się on robić wszystko samodzielnie, pomoc przyjmował tylko, kiedy była ona absolutnie konieczna. Bardzo dobrze obrazuje to opis autorstwa jego siostry, mówiący o tym, w jaki sposób wykonywał rysunki techniczne: *Ty wiesz jak twój dziadek rysunki robił? Student, który robił dwie godziny, to on robił trzy dni. Tym kciukiem trzymał, żeby mu się nie przesunęły te linijki, kątowniki.*

Podobne wspomnienia zachowała również Małgorzata Gregorowicz: *Co też wspominała zawsze babcia, na chemii co prawda nie było wielu projektów, ale były projekty. Jak dziadek studiował, rozkładał sobie projekt na podłodze, siadał na linijce i jedną ręką ten projekt rysował. Ile wymagało to od niego samozaparcia i ciężkiej pracy w stosunku do innych kolegów.*

Praktycznie od początku istnienia Politechniki Śląskiej, szybko zaczęły się tworzyć różne organizacje studenckie. Przy uczelni powstały kolejno: organizacja socjalna - Bratnia Pomoc Studentów Politechniki Śląskiej, tzw. „Braciak”, Drużyny Szkoleniowe ZHP przy Politechnice Śląskiej w Gliwicach oraz czuwająca nad bezpieczeństwem profesorów, personelu i studentów na terenie dzielnicy akademickiej – Milicja Akademicka.

Proces ich powstawania, dotyczący w szczególności harcerstwa, opisuje pani Krystyna Szmyd – Darlewska, we wspomnieniu dotyczącym działalności Kręgów Starszoharcerskich przy Politechnice Śląskiej:

Młodzi ludzie przywozili ze sobą bagaż bogatych przeżyć, a reprezentowali bardzo różne poglądy. Walczyli wcześniej w partyzantce, Szarych Szeregach, na wschodnim i zachodnim froncie. Na zewnątrz wyglądali podobnie: mizerni, nędznie odziani, często odziani w mundury wojskowe lub battle – dresy. Wszystkich ożywiała ta sama, gorąca chęć służby Polsce, choć nie wszyscy wyobrażali ją sobie w taki sam sposób. Wnet przystąpiono do wynoszenia gruzu i remontu sal i biur przyszłej uczelni.

Pomysł reaktywacji harcerstwa na Ziemiach Odzyskanych był szczególnie popierany przez dawnych harcerzy i członków „Szarych Szeregów”. Krystyna Szmyd – Darlewska wspomina, że do grupy inicjatorów należeli między innymi, Zbigniew Gregorowicz, Leszek Hahn oraz Zygmunt Miller - *W połowie września 1945 r. wszyscy chętni, w ilości ponad 30 osób, zebrali się w jednej z uczelnianych sal, przy ulicy M. Strzody i postanowili [o założeniu drużyn]. Ostatecznie powstały cztery starszoharcerskie drużyny, zrzeszające około 120 studentów i studentek z różnych wydziałów.*

Działalność harcerstwa na terenie Gliwic miała według mnie bardzo duże znaczenie. Po pierwsze, wyjście harcerzy na teren śląski oznaczało spotkania z autochtoniczną ludnością, a szczególnie młodzieżą powiatu gliwickiego. Organizowali oni bowiem liczne wycieczki (np. szlakiem powstań śląskich),

³⁷ Wiktor Jakób (1886 – 1971) - chemik, specjalizujący się w chemii nieorganicznej, profesor Politechniki Lwowskiej, a po wojnie Politechniki Śląskiej i Uniwersytetu Jagiellońskiego.

³⁸ Zbigniew Gregorowicz

biwaki i ogniska z udziałem miejscowej ludności. Odbywały się one zawsze z manifestacją polskości. Były to swego rodzaju działania repolonizacyjne. Między innymi, otoczono specjalną opieką mieszkańców Sośnicy i Wójtowej Wsi, w których to miejscowościach nawiązano kontakt z działaczami powstań śląskich.

Po wtóre, działalność drużyn, poprzez współpracę z Hufcem Gliwickim, pomogła w rozwoju ZHP na terenie miasta i powiatu – szczególnie wśród uczniów szkół podstawowych i średnich. Harcerze byli szkoleni specjalnościowo, zgodnie z zainteresowaniami, brali też czynny udział w życiu uczelni.

Zbigniew Gregorowicz został wybrany komendantem politechnicznych Drużyn Szkoleniowych. Jego zastępcami mianowano Jacka Węgrzynowicza i Zygmunta Hupscha. Opiekunem Drużyn Szkoleniowych zgodził się zostać dawny drużynowy IV Lwowskiej Drużyny Harcerzy, odznaczony Krzyżem Harcerskim za Obronę Lwowa, jeden z siedmiu przedwojennych Harcmistrzów Rzeczypospolitej – profesor Michał Affasanowicz.

O powstaniu Milicji Akademickiej, mówi zarządzenie Politechniki Śląskiej z dnia 10 sierpnia 1945 roku: *Wobec konieczności roztoczenia opieki nad mieniem Politechniki i stałego czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem młodzieży i pracowników zamieszkałych na terenie dzielnicy akademickiej w Gliwicach, stworzy się milicję akademicką z komendantem i jego zastępcą na czele, podległą rektorowi Politechniki.*

Milicjanci i ich komendanci zostaną indywidualnie zatwierdzeni na swych stanowiskach przez komendanta Milicji Obywatelskiej miasta Gliwice i dopiero wtedy otrzymają broń i amunicję.

Regulamin służbowy milicji akademickiej opracuje i przedstawi przed dniem 15.08.1945, do zatwierdzenia rektorowi, tudzież komendantowi MO miasta Gliwice, osobę, którą wyznaczy się na stanowisko komendanta milicji.

Regulamin służbowy powinien opierać się na zasadach wojskowych, a milicjanci muszą posiadać przeszkolenie i stopnie wojskowe.

Hasłem milicji akademickiej Politechniki będzie: „Bądź czujny! Chroń mienie Politechniki, chroń swych kolegów i nauczycieli akademickich przed rabunkiem, gwałtem, zakłóceniem porządku i spokoju na terenie dzielnicy akademickiej Politechniki Śląskiej w Gliwicach”.

Milicjanci, pozostając studentami, są zarazem funkcjonariuszami niższymi Politechniki, komendant zaś i jego zastępca – pracownikami administracyjnymi.

Z dniem dzisiejszym ogłasza się ochotniczy zaciąg do milicji akademickiej, który będzie trwał do 12.08.1945 włącznie. Zapisy przyjmuje administracja Politechniki w godzinach urzędowych – zarząd gmachów.

Wszyscy milicjanci będą przyjęci na 2-tygodniowy okres próbny. Po zakończeniu okresu próbnego nastąpi ich ustalenie, jeżeli do tego czasu ich stosunek służbowy nie ulegnie rozwiązaniu.

Dotychczasowa straż ochrony mienia Politechniki zostanie z dniem 13.08.1945 rozwiązana, a dotychczasowi strażnicy mają prawo do zapisania się na listę ochotników do milicji akademickiej.

Jak zaznaczono już w pierwszym akapicie zarządzenia, mimo swej niefortunnej nazwy, organizacja ta była w całości podległa władzom uczelni,

aczkolwiek pewne sprawy – na przykład związane z posiadaniem broni – musiały być konsultowane z przedstawicielami Milicji Obywatelskiej.

Istnienie tego typu organizacji było absolutnie niezbędne, ze względu na ówczesne realia panujące w mieście. Po przyjrzeniu się strukturze ludności powojennych Gliwic, łatwo dojść do wniosku, że nie było to miejsce bezpieczne – szczególne zagrożenie dla mieszkańców stanowili pacjenci szpitali wojsk sowieckich, którzy nierzadko napadali na ludność cywilną.

Funkcjonariusze Milicji Akademickiej mieli również za zadanie ochronę odzyskanego i powstającego mienia uczelni oraz pieczę nad transportami żywnościowymi i materiałowymi kierowanymi dla uczelni.

Zbigniew Gregorowicz zaangażował się w działalność organizacji, a mając na uwadze jego stopień oficerski, został on wybrany na drugiego zastępcę komendanta.

Młodzież wstępująca w szeregi MAK³⁹ rekrutowała się głównie z byłych uczestników Ruchu Oporu oraz zdemobilizowanych żołnierzy Wojska Polskiego. Była ona przesiąknięta głębokimi uczuciami patriotycznymi, dając temu dowód w podjęciu dodatkowych, niebezpiecznych obowiązków, poza nauką.

„Grom” tak wspomina początki swojej pracy w Milicji Akademickiej: *Dostałem pokój mieszkalny, możliwość korzystania ze stołówki oraz zakres obowiązków związanych z pełnioną funkcją. Było nas razem stu kilkunastu. Szybko się zorientowałem, iż jesteśmy bardzo „różną” grupą. Poczynając od ludzi Podziemia, obozów koncentracyjnych, do osób niepewnych, o nieciekawej reputacji, których obowiązkiem była niestety obserwacja – kto się czym zajmuje i jakie ma poglądy. Czuło się, że tych ostatnich jest niewiele, ale trzeba się było mocno pilnować.*

Ostatnie zdania świadczą o tym, że Milicja Akademicka w żadnym wypadku nie mogła być jednostką podległą bezpośrednio władzy ludowej, czy też jednostkom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nic dziwnego, że „szpicle” musieli ją nadzorować, choćby dlatego, że trzon organizacji stanowili byli działacze organizacji podziemnych.

Milicja Akademicka była wyposażona w kilka karabinów starego typu, do których była amunicja w niewielkiej ilości, broń znajdowała się na wartowni, przy ulicy Częstochowskiej 14, na której był stały dyżur całą dobę. Sekcja, która miała służbę, pełniła ją na stałych posterunkach oraz ruchomych patrolach. Do tak zwanych stałych posterunków należały magazyny uczelniane, stołówki i wszystkie obiekty tzw. cenne. Codziennie wieczorem, w podwórzu Częstochowskiej 14, odbywały się apele całości zespołu, odczytywanie rozkazów i przekazywanie służby pomiędzy sekcjami – wspomina Zbigniew Gregorowicz.

Dzielnica akademicka była specjalnie patrolowana w godzinach wieczornych. Profesorowie uczelni, po zakończeniu wykładów, byli odprowadzani do domów. Stałe posterunki były też w robotniczej dzielnicy Gliwic - „Zatorze”, gdzie część studentek i studentów mieszkała w blokach, zajętych przez administrację uczelni.

„Grom” wspomina, że interwencje w celu ochrony społeczności akademickiej i nierzadko innych przygodnych ludzi zdarzały się często.

³⁹ Milicja Akademicka

W grudniu 1945 roku, po rezygnacji ówczesnego komendanta MAK, Edwarda Franka, rektor Politechniki Władysław Kuczewski powołał Zbigniewa Gregorowicza na jego miejsce.

Na przykładzie przedstawionych wydarzeń widać wyraźnie, że pomimo swego kalectwa, bohater mojej pracy był uznawany za człowieka bardzo wartościowego i radzącego sobie z dużą ilością różnego rodzaju zadań – począwszy od nauki, harcerstwa, do pracy w MAK włącznie. *W tym momencie spadł na mnie znacznie większy obowiązek i odpowiedzialność za bezpieczeństwo wielu ludzi – wspomina „Grom”.*

Kilku z działaczy MAK, a wielu pozostałych studentów Politechniki Śląskiej, należało jednocześnie do Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Podejrzany o przynależność do podziemnego wojska przeprowadzano rewizje. Zbigniew Gregorowicz wspomina: *Parę dni przed Bożym Narodzeniem, zjawili się na odprawie trzech funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, którzy po przeczytaniu listy obecności przez prowadzącego, zażyczyli sobie stawienia się kilku naszych kolegów w wartowni. Był to przypadek bez precedensu. Idąc ze swoim zastępcą, Henrykiem Kowalowskim oraz trzema wyczytanymi kolegami: Mieczysławem Gabrysiem, Zygmuntem Millerem i Leszkiem Hahnem, w asyście przybyłych ubowców, krętymi schodkami na wartownię, Mieczysław Gabryś dyskretnie prosi mnie o spowodowanie zabrania nielegalnie posiadanego pistoletu, znajdującego się w pianinie, w jego pokoju.*

W ułamku sekundy rozumiem – prowokacja czy prawda? Decyduję się na interwencję, bez względu na konsekwencje. Rewizje przeprowadzone w pokojach kolegów nie dały żadnych rezultatów. Kolega Miller, prowadzony do akademika przy ulicy Wrocławskiej, uderzył drzwiami prowadzącego go funkcjonariusza i uciekł.

Przed tym wypadkiem, jeden z kolegów milicjantów zaproponował mi w tajemnicy, tak wprost, wstąpienie do tajnej organizacji. Odpowiedziałem odmownie, komentując, że jeśli jest to prowokacja, to niezdarne, a jeśli konspiracja, to nieodpowiedzialna. Czas późniejszy pokazał, że niektórzy członkowie Milicji Akademickiej byli zaangażowani w podziemiu.

Wszystkich ich trzech wzięto na rewizję do lokali, gdzie mieszkali. U Mietka nic nie znaleźli. Nadal działał w podziemiu i został złapany w akcji w 46 roku. Przy zasadzce poślizgnął się na motorze, na którym zresztą świetnie jeździł, i został złapany. Dostał karę śmierci, ale jego bardzo bogata krakowska rodzina wykupiła go na dożywocie. Przesiedział 15 lat i wyszedł jako człowiek bardzo skończony.

W 1946 roku, po wpadce tego Gabrysia z Krakowa, drugi kolega, Zbigniew Kutermacha⁴⁰, pochodzący z Radomska i będący komendantem całego powiatu gliwickiego, o pseudonimie „Kuźnia”, został aresztowany i rozstrzelany w Katowicach.

Był jeszcze jeden student, który nie był na Wydziale Chemicznym. Student Wydziału Mechanicznego, był w oddziale Łupaszki (majora Zygmunta Łupaszki – Szendzielarza, dowódcy 5 Wileńskiej Brygady AK). W 1947 roku, gdy miało miejsce ponowne ujawnianie, zataił całą swoją działalność po 45 roku. Wrócił do prawdziwego nazwiska – to była jego wpadka. Został rozpoznany przez jednego z agentów UB na

⁴⁰ Członek antykomunistycznej organizacji niepodległościowej – Samodzielnej Grupy Konspiracyjnego Wojska Polskiego „Kuźnia”. Wyrokiem Rejonowego Sądu Wojskowego w Katowicach skazany na karę śmierci. Rozstrzelany dnia 6 stycznia 1946 roku, w więzieniu przy ulicy Mikołowskiej w Katowicach.

terenie Dolnego Śląska. W 1949 roku odbył się pokazowy proces wojskowy w Białymstoku. Dostał wyrok dożywotniego więzienia, a prokurator, kapitan Sykuć, wystąpił o rewizję. Wywalczył karę śmierci i chłopak został rozstrzelany. To właściwie nie była egzekucja, ich zabijano gdzieś w piwnicy, strzałem w tył głowy. Bandyctwo ostatniego rządu.

Przytaczam te fragmenty wspomnień, aby dobrze ukazać jak wyglądała struktura gliwickiej społeczności akademickiej. Tablica pamięci studentów Zbigniewa Kutermachy i Kazimierza Chmielowskiego została nie bez trudności odsłonięta w 1995 roku, na murach budynku Wydziału Chemicznego Politechniki Śląskiej, dzięki staraniom Zbigniewa Gregorowicza.



TABLICA PAMIĘCI STUDENTÓW POLITECHNIKI ŚLĄSKIEJ SKAZANYCH NA KARĘ ŚMIERCI ZA DZIAŁALNOŚĆ NIEPODLEGŁOŚCIOWĄ W KONSPIRACYJNYM WOJSKU POLSKIM. AUTOR: FRANCISZEK MAURER.

Po tych wypadkach wykrycia w owej organizacji wartowniczej grupy działaczy Konspiracyjnego Wojska Polskiego, z którą współpracował Zbigniew Gregorowicz i inni studenci, oraz po pochodach trzeciomajowych, jakie miały miejsce w Gliwicach w czerwcu 1946 roku, rektor Władysław Kuczewski wyraził się o Milicji Akademickiej w następujący sposób: „Niebezpieczna banda, trzeba to rozwiązać!”

No i rozwiązał Milicję Akademicką – wspomina Zbigniew Gregorowicz - powołał na jej miejsce straż, złożoną z samych peerowców. Nosili oni czerwone opaski, podczas gdy my w Milicji mieliśmy biało-czerwone, z napisem MAK.

Z kolei w notatce Zbigniewa Gregorowicza dotyczącej działalności MAK, pochodzącej z 6 stycznia 1969 roku, autor pisze: *Bezpieczeństwo dzielnicy*

akademickiej zależało w dużym stopniu od sprawnie działającej MAK, co znalazło swój wyraz w podziękowaniach organów Milicji Obywatelskiej, złożonych na ręce Rektora politechniki Śląskiej, wiosną 1946 roku.

Z końcem roku akademickiego 1945/46, Rektor Politechniki Śląskiej – dla umożliwienia lepszych warunków studiowania – rozwiązał Milicję Akademicką, powołując Straż Akademicką.

Treść powyższej notatki jest oczywiście przekłamana, a wynikało to zapewne z nacisku ze strony władzy ludowej, gdyż tekst ten pochodzi z oficjalnej notatki politechnicznej⁴¹. Nacisk ten uniemożliwił ukazanie okoliczności rozwiązania tej organizacji w sposób obiektywny.

Po likwidacji Milicji Akademickiej, Zbigniew Gregorowicz włączył się w działalność Bratniej Pomocy i wciąż czynnie działał w życiu uczelni.

Równoległe ze studiami, od 1948 roku, Zbigniew Gregorowicz pracował na Wydziale Chemicznym, jako asystent profesora Wiktora Jakóba. W dużym stopniu poświęcił się pracy naukowej. W latach 1949–1952 pracował równocześnie w Technikum Chemicznym w Gliwicach, a następnie, do 1969 roku, w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach.

Po ukończeniu studiów w 1950 roku, uzyskał tytuł magistra inżyniera, a po obronie rozprawy doktorskiej w 1959 roku – doktora inżyniera nauk technicznych. Habilitował się w 1969 roku. W 1968 roku uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1974 roku – profesora zwyczajnego⁴².

Jak wspomina pani dr Barbara Kot, jedna z jego doktorantek, Zbigniew Gregorowicz sam nie wykonywał prac manualnych. *Był raczej organizatorem od strony merytorycznej, a nie jako tako w laboratorium.* Pani dr Ewa Bobrowska – Grzesik dodaje, że gdy zachodziła taka konieczność, prace w laboratorium wykonywał za niego technik. Jednocześnie wyraża szacunek do umiejętności przezwyciężenia inwalidztwa: *Walczył przeciwko losowi. Udało mu się, mimo kalectwa, przejść całą drogę naukową – do profesora, zarządzał ogromną jednostką, nie dał się wygryźć przez nieżyczliwe czynniki, które chciały go wykopać z tego stołka.* Jednocześnie sugeruje jednak, że jako ofiara wojny, miał on ułatwianą karierę naukową przez ówczesne władze. Moim zdaniem, władze peerelowskie z pewnością niczego nie ułatwiały byłym działaczom Podziemia, a wkład pracy i wytrwałość, jakie musiał włożyć w osiąganie kolejnych sukcesów naukowych, były bardzo duże i wymagały od niego mnóstwo cierpliwości i dobrej woli, gdyż nie był w końcu w pełni sprawny fizycznie.

Uzyskanie profesury było dużym sukcesem, gdyż Zbigniew Gregorowicz nigdy nie należał do partii, a bezpartyjnym trudno było o możliwość piastowania wysokich urzędów i uzyskania tytułów naukowych. Co więcej, stworzył on na Śląsku szkołę naukową z zakresu chemii analitycznej, organizując na Politechnice Śląskiej zespół doktorancko - habilitancki, którego uczestnikami byli pracownicy wyższych uczelni, instytutów i przemysłu. W latach 60 – tych uczestniczyło w nim około stu osób.

⁴¹ załącznik VII

⁴² załącznik VIII



ZBIGNIEW GREGOROWICZ W LABORATORIUM – FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW RODZINNYCH

W dorobku kształcenia kadry naukowej, Zbigniew Gregorowicz był promotorem 34 zakończonych doktoratów oraz opiekunem 10 rozpraw habilitacyjnych.

Posiada on na swoim koncie ponad 300 publikacji naukowych, z których jedna trzecia publikowana była za granicą. Ponadto wygłosił ponad 150 referatów i komunikatów.

W roku 1960, objął Katedrę Chemii Sanitarnej na Wydziale Inżynierii Sanitarnej Politechniki Śląskiej, którą kierował do 1969 roku. W latach 1964-66 był prodziekanem, a w latach 1966-69 dziekanem tego Wydziału.

W 1969 roku, w ramach reorganizacji uczelni, profesor Zbigniew Gregorowicz zorganizował Katedrę, a następnie Instytut Chemii Analitycznej i Ogólnej, którymi kierował do 1994 roku, to znaczy do czasu przejścia na emeryturę.

W czasie swojej 52-letniej pracy na uczelni, Zbigniew Gregorowicz był postrzegany przez swoich studentów i współpracowników dosyć kontrowersyjnie, jednak większość z nich wspomina profesora bardzo ciepło. Świadczyć o tym mogą wypowiedzi trzech doktorantek Zbigniewa Gregorowicza, które do tej pory pracują w Katedrze Chemii Analitycznej i Ogólnej i zgodziły się na rozmowę ze mną.

Ja myślę, że tak jak każdego profesora, studenci się go bali. Na pewno czuli respekt, na pewno się go bali – wspomina pani dr Barbara Kot - Był ciepłym człowiekiem. Okres, kiedy był kierownikiem katedry, wspominam bardzo mile. Po prostu nie było

jakiś takich niesnasków, nie robił niepotrzebnych zamieszkań. Nie miałam nigdy z profesorem jakiegoś konfliktu. Jak mieliśmy jakieś swoje problemy domowe, czy dzieci chorowały, to pan profesor zawsze mówił: „Dziecko załatw swoje sprawy domowe, potem będziesz pracowała”, to było właśnie ze strony pana profesora sympatyczne – dodaje. Uważa również, że to właśnie przeżycia wojenne w dużym stopniu stanowiły o jego charakterze.

Pani dr Danuta Matysek – Majewska wspomina Zbigniewa Gregorowicza, jako człowieka bardzo ludzkiego i wrażliwego na ludzką krzywdę. *Przestrzegał mnie przed wieloma rzeczami, był osobą o niezwykle dużej intuicji. Umiał przewidzieć pewne rzeczy, miał psychologiczne zdolności. Potrafił się poznać na ludziach – opowiada - miał łatwość nawiązywania kontaktów. Jako dydaktyk nie stwarzał napięcia, obrazu dominacji, atmosfera była spokojna. Egzamin szybko przeradzał się w dyskusję.*

Trzecia z moich rozmówczyń, pani dr Ewa Bobrowska – Grzesik, zaznacza, że nie należała do pupilów profesora, ale mimo to wspomina: *Był bardzo ludzki, jeżeli chodzi o krzywdę w życiu osobistym. Nie był drobiazgowy, nie żądał chorego drylu.*

Podczas swojej pracy naukowej, Zbigniew Gregorowicz był zapraszany jako „visiting professor” do licznych uczelni krajowych, ale także zagranicznych – do Anglii, Szwajcarii, Niemiec, Kanady, Czechosłowacji, Związku Radzieckiego czy Węgier.

Jeden ze swych wyjazdów – delegację do Kanady, na którą został zaproszony w 1978 roku, przez profesora Uniwersytetu w Edmontonie, Czesława Radkiewicza, tego samego człowieka, który wprowadził go do warszawskiego Podziemia, podczas okupacji – opisuje w swoich wspomnieniach. *Opowiada o tym, z jak miłym przyjęciem przez Polonię się spotkał: Miałem możliwość poznania wszystkich tych ludzi. Nieczęsto ktoś przyjeżdżał z kraju, w tym czasie, do zachodniej Kanady. Gdy tylko rozeszła się wiadomość o przyjeździe profesora z Polski, a do tego jeszcze bezpartyjnego, zostałem zarzucony propozycjami spotkań w prywatnych mieszkaniach.*

Wspólnie z Polakami z zagranicy bardzo przeżywał to wszystko, co działo się w kraju, w nowym układzie nie tylko politycznym, ale i terytorialnym.

Fenomen postaci profesora polegał na jego ogromnym darze wypowiedzenia się, gdyż swoim wykładem czy prelekcją potrafił zainteresować każdego. *Miał niezwykłą łatwość nawiązywania kontaktu z audytorium. Był świetnym mówcą, zawsze o wszystkim potrafił opowiadać z pasją – to się też inaczej słuchało. Mówił też o swoich zainteresowaniach historycznych, o tym, co przeszedł, miał na ten temat dużą wiedzę, to nie da się ukryć. Pan profesor potrafił tę wiedzę przekazać – wspomina pani dr Barbara Kot. Często przypominał też studentom, o tym, że powinni doceniać warunki, w jakich się kształcą, przytaczając realia powojenne, które opisuje pani dr Danuta Matysek – Majewska: *Była to ruina, studenci siedzieli na jakiś pudełkach, a spali na materacach.* Pani dr Ewa Bobrowska – Grzesik wspomina podobnie: *Jego pokolenie zaczynało od spania na materacach. Zawsze nam o tym przypominał, kiedy na coś narzekaliśmy. Uważał, że mamy super wyposażenie.**

Według pani dr Ewy Bobrowskiej – Grzesik, merytoryczność nie była dobrą stroną Zbigniewa Gregorowicza: *Nie miał dobrej koncepcji pracy naukowej,*

strategii badań naukowych. Miał wykłady, z których nic nie rozumiałam. Robił tyle dygresji... to nie był szkolny wykład. Z drugiej strony jednak przyznaje - Profesor tworzył aurę wokół tego przedmiotu. Stworzył Śląską Szkołę Analityczną i miał bardzo dobry kontakt z młodzieżą.

Antagonistyczny pogląd wyraża pani dr Barbara Kot, wspominając: *Pamiętam, robiłam pracę doktorską, to siedział i czytaliśmy tą pracę. Siedziałam u profesora w gabinecie i czytaliśmy kartka po kartce. Potrafił zwrócić uwagę i wyłapać jakieś błędy merytoryczne, także od strony redakcyjnej.*

Oprócz pracy naukowej na Politechnice Śląskiej, profesor poświęcał się w dużym stopniu różnego rodzaju pracy na rzecz młodzieży. *Działalność z młodzieżą go pasjonowała. Miał kółko naukowe. Kochał młodzież, dobrze się czuł w jej towarzystwie. Dyskutując potrafił się zapędzić, zaperzyć, zaangażować. Potrafił zapalić młodzież do wspomnień, zapalić ducha patriotycznego - wspomina dr Ewa Bobrowska – Grzesik.*

Dr Danuta Matysek – Majewska uważa wręcz, że profesor rozdrabniał się między sprawami naukowymi, a dotyczącymi kombatantów czy harcerstwa.

Opowiada o tym również dr Barbara Kot: *Nie mówił nam, jak to się stało [utrata ręki], czy o innych problemach takich bardziej osobistych, ale dużo takich faktów historycznych potrafił rzeczywiście przekazać. Profesor był znany z tego, że miał prelekcje w różnych instytucjach, na tematy historyczne, związane z przeszłością, z okresem II wojny światowej.*

Fakt, że rzadko wracał do własnych traumatycznych przeżyć wojennych potwierdzają wszystkie trzy rozmówczynie, a także moja mama, Małgorzata Gregorowicz.

Zbigniew Gregorowicz miał swoje prelekcje z historii najnowszej, ze szczególnym uwzględnieniem aspektów niepodległościowych, w różnego rodzaju instytucjach, klubach, jednostkach wojskowych, szkołach podstawowych i średnich. Wygłosił ich ponad 400.

Sama pamiętam jedno z takich spotkań, w mojej szkole podstawowej, na które byli zaproszeni uczniowie ze starszych klas. Ja byłam wtedy pierwszoklasistką i również siedziałam na auli, wśród starszych kolegów. Pamiętam to wydarzenie bardzo dobrze – dziadek naprawdę potrafił porwać uczniów do wspomnień i wzruszeń. Stał pośrodku tłumu młodzieży, ubrany w garnitur, z którego prawy rękaw zwisał luźno, a jego końcówka była schowana do kieszeni. Lewą ręką żywo gestykulował. Opowiadał bardzo obrazowo i zrozumiale. Poczułam się wtedy bardzo dumna, że mam takiego dziadka.

Dodatkowo, Zbigniew Gregorowicz nieprzerwanie udzielał się w harcerstwie. Jak wspomina jego siostra, Jadwiga Strączek: *Harcerstwo było dla niego takim przedłużeniem, ramieniem wojskowości, czyli też państwowości polskiej.*

Jego działalność w Hufcu Gliwickim wspomina druhna Łucja Wolna: *Brał czynny udział w działalności hufca, która była niezwiązana z drużyną, bo do żadnej nie należał. Był członkiem kręgu „Wiarus”⁴³.*

Zbigniew Gregorowicz był kierownikiem sztabu łączności z dziećmi, wizytował obozy harcerskie. Brał też udział w niektórych specjalnych akcjach Hufca Gliwickiego. *Wizytował w ciągu dnia po dwa, trzy obozy. Był trochę*

⁴³ Stowarzyszenie dawnych instruktorów Związku Harcerstwa Polskiego.

apodyktyczny, po prostu, jeżeli ktoś się czegoś podejmował, to miało to być zrobione dobrze. Jak przyjeżdżał na obóz wszyscy liczyli się z tym, że będzie alarm, kładli się do łóżka w butach – wspomina druhna Łucja Wolna.

W czasie „buntu inteligenckiego”⁴⁴, w marcu 1968 roku, Zbigniew Gregorowicz miał swoje przemówienie do studentów Politechniki Śląskiej. Został o to poproszony przez rektora uczelni, profesora Jerzego Szubę.

W Trybunie Śląskiej, numerze z dnia 18 kwietnia 1991 roku, w rubryce „Śląska, słucham...” zamieszczono opinię o tym wystąpieniu, autorstwa jednego z ówczesnych studentów, Jana Pałasza: *Do dziś pamiętam jego wspaniałe przemówienie do studentów w trudnym 1968 roku. Był to majstersztyk, którym zjednał sobie wielu sympatyków wśród braci zakowskiej, a jednocześnie przysporzył sobie wielu wrogów wśród ówczesnych prominentów.*

Bardzo dużą rolę w zaoszczędzeniu młodego społeczeństwa, w sensie uniknięcia kontaktu z milicją, z przesłuchaniami, z biciem, istotną rolę odgrywały takie autorytety, w oczach studenckich, jak dziadek – wspomina mój tata, Marek Gregorowicz. Swoim przemówieniem, Zbigniew Gregorowicz miał uchronić studentów przed represjami ze strony władzy. Ktoś może powiedzieć, że było to zachowanie „na rękę” ówczesnych rządzących. Być może istotnie tak było. Tylko, że dzięki temu wystąpieniu, bunt studentów, który i tak się odbył, nie poniósł za sobą takich konsekwencji, jak na niektórych polskich uczelniach⁴⁵ – aresztowań i skreśleń z list studentów.

Mówiąc o pracy na rzecz młodzieży, należy wspomnieć o wkładzie Zbigniewa Gregorowicza w budowę Szkoły Podstawowej nr 36 w Gliwicach. Była to sytuacja, w której oświata weszła w konflikt z przemysłem, a konkretnie Komitet Rodzicielski Szkoły Podstawowej nr 2 w Gliwicach prowadził walkę z GZUT – em⁴⁶, o działkę budowlaną. Biuletyn Szkolny Szkoły Podstawowej nr 36 w Gliwicach z 1998 roku opisuje tę sytuację: *Walka o teren trwała. Rodzice byli zdeterminowani. W dążeniu do powstania nowej szkoły przyczynił się także prof. zw. doc. dr hab. inż. Zbigniew Gregorowicz – pracownik Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Kontakt z profesorem udało nam się nawiązać przez państwa Kwaśnickich. Na ich prośbę, Profesor przyjął Komitet Rodzicielski ze Szkoły Podstawowej nr 2. Ich cel uznał za bardzo dobry, obiecał pomoc, a nawet udzielił szczegółowych instrukcji dotyczących dalszych poczynań.*

W dwa tygodnie później wyjechał do Warszawy z pismem od rodziców. Wtedy o planach budowy szkoły i wytyczenia działki dowiedziały się osoby z rządu.

Cała sprawa zakończyła się pomyślnie. Szkoła powstała, a w latach późniejszych wielokrotnie dawała wyraz pamięci i wdzięczności za pomoc.

Myślę, że błyskotliwa kariera naukowa Zbigniewa Gregorowicza wynikała w bardzo dużym stopniu z jego chęci przewyciężenia własnej słabości, jaką obdarzyła go wojna. Całą swoją pracą udało mu się udowodnić, że był w stanie funkcjonować w społeczeństwie, jako jednostka równa pod każdym względem ludziom zdrowym, a nawet potrafiąca się wyróżnić w różnych dziedzinach życia. Całość podkreśla dodatkowo fakt, iż przez całe swoje życie Zbigniew

⁴⁴ Demonstracje studenckie, m.in. w Warszawie, Krakowie i Gdańsku, brutalnie rozbite przez oddziały Milicji Obywatelskiej, nagonka antyinteligenta.

⁴⁵ Np. Uniwersytet Warszawski, Politechnika Warszawska, Politechnika Gdańska

⁴⁶ GZUT – Gliwickie Zakłady Urządzeń Technicznych

Gregorowicz pozostał bezpartyjny i nie poddał się wpływowi władzy ludowej, co jednocześnie nie przeszkodziło mu w pięciu się na kolejne stopnie swojej kariery.

Pracował ciężko na to wszystko, nie złamał się, jeśli chodzi o sprawy partyjne. Na pewno nie było łatwo robić kariery przy jego życiorysie, przy jego pochodzeniu przedwojennym przede wszystkim. Na pewno mógłby zająć gdzieś wyżej, ale tak naprawdę nie był w stanie tego zrobić wbrew sobie, żeby to osiągnąć takim kosztem. Na przykład dla osiągnięcia stanowiska złamać się i dostosować do panujących ówczesnie przepisów, prawa, którego nie uznawał⁴⁷ – wspomina moja mama, Małgorzata Gregorowicz.

⁴⁷ Por. rozdział V

V

Życie publiczne

„Sukces bywa również karany: trzeba się spotykać z ludźmi, których
przedtem można było ignorować”

John Updike

Zbigniew Gregorowicz bardzo żywo interesował się i obserwował sytuację polityczną w kraju. Z pewnością jego przeżycia z okresu wojny i wcześniejsze, nie napawały go specjalnym entuzjazmem do nowego systemu politycznego. Bardzo chciał mieć udział w życiu państwa, ale nie jako przedstawiciel partii, z której programem się nie zgadzał, tak więc ów niezależny udział zdawał się być niemożliwością.

Po wojnie nie służył w wojsku, został mu jedynie zweryfikowany przez Ministerstwo Obrony Narodowej, stopień oficerski⁴⁸.

Był taki moment w życiu Zbigniewa Gregorowicza, w którym chciał rozpocząć studia prawnicze, czyli pójść w ślady swojego ojca, Dominika. Wyznawał jednak swoją zasadę - „*Nie można studiować prawa w państwie bezprawia*” i porzucił ten pomysł, ponieważ z prawem obowiązującym w ówczesnej Polsce – nie zgadzał się. Powszechnie wiadomo, że było ono naginane, naciągane do potrzeb rządzących i nie miało nic wspólnego z niezawisłością sądów.

Jak można było zostać prawnikiem w momencie, kiedy wiadomo było, co się działo z sądami, z procesami. Jak można było na to wszystko przystać? Po co studiować takie prawo? Trzeba byłoby się zgodzić z tym, co się działo w tym kraju, a ponieważ on się z tym nie zgodził, no to wybrał sobie chemię – wspomina Małgorzata Gregorowicz.

Brak zgody na porządek panujący w Polsce Ludowej, Zbigniew Gregorowicz wyrażał w różnoraki sposób.

W roku 1949, w czasie jednej z praktyk studenckich w Bratysławie, Zbigniew Gregorowicz, zdołał przedostać się na trzy dni do Wiednia. Był to wyjazd za tzw. „żelazną kurtynę”, tak więc - nie lada wyczyn. Ponownie na Zachód udało mu się wyjechać dopiero w roku 1962, a bieżące informacje o sytuacji międzynarodowej czerpał przede wszystkim słuchając radia „Wolna Europa”, podobnie jak w okresie okupacji słuchał radia konspiracyjnego.

W okresie nasilonych represji ze strony radzieckiej, w roku 1953, Zbigniew Gregorowicz został aresztowany i osadzony w więzieniu w Katowicach na trzy miesiące. Bezpośrednim powodem aresztowania było znalezienie, w domu jego bliskich krewnych, kilkuset dolarów. Toczyła się sprawa karna i oskarżono go o utrzymywanie kontaktów z Zachodem. Tak naprawdę Zbigniew Gregorowicz nie miał nic wspólnego z posiadaniem owej waluty. Uważam, że w aresztowaniu, większą rolę odegrała działalność akowska Zbigniewa Gregorowicza, niż oficjalny powód oskarżenia. Początek lat 50-tych był okresem nasilonego stalinizmu, a byli działacze Podziemia represjonowano silniej niż wcześniej. W wyniku rozprawy sądowej, Zbigniew Gregorowicz został jednak uniewinniony.

Był to moim zdaniem moment przełomowy w nastawieniu bohatera mojej pracy do polityki Polski Ludowej. Ze wspomnień moich rodziców wynika, że aresztowanie odebrał jako cios wymierzony w swoją osobę za to, że walczył dla kraju, że dla tego kraju stracił rękę, czyli poniósł może nie najwyższą, ale bardzo wysoką ofiarę.

Moja mama, Małgorzata Gregorowicz wspomina jedno z wydarzeń, które potwierdza moją tezę: *Pamiętam, jak po raz pierwszy dostał jeden z medali za powstanie warszawskie, to był jednym z kilkorga osób w kraju, które nie odebrały tego medalu. Bo to skomentował, że nie chce takiego medalu od takiego państwa, to jeszcze była Polska Ludowa, że najpierw za to samo siedział w więzieniu, a teraz za to samo ma dostać medal. I go nie odebrał.*

Mimo wszystko, Zbigniew Gregorowicz chciał dalej aktywnie uczestniczyć w życiu kraju. *Interesował się polityką, był czujny, uważał, co się dzieje – wspomina*

⁴⁸ Przyznano mu stopień podporucznika.

dr Danuta Matysek – Majewska. Nie należał jednak do PZPR, ani do Towarzystwa Przyjaźni Polsko – Radzieckiej. Pozostając bezpartyjnym, w latach 60-tych i 70-tych, wielokrotnie kandydował i obejmował urząd radnego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach oraz Rady Miejskiej w Gliwicach. Na zaświadczeniach wydanych przez Komisję Wyborczą⁴⁹ widnieje oczywiście następujący wpis: „Obywatel Gregorowicz Zbigniew wybrany został z listy Frontu Jedności Narodu⁵⁰”, ale była to jedyna lista wyborcza, wypisana na zaświadczeniu automatycznie.

Sceptycyzm i brak podporządkowania się władzy ludowej, nie spowodowały jednak w latach 80-tych wielkiego zaangażowania w działalność solidarnościową. Co prawda, Zbigniew Gregorowicz należał do NSZZ „Solidarność”, ale jego działalność była ograniczona, o czym wspomina jego syn, Marek Gregorowicz: *Powstanie Solidarności i perspektywa zmian, o które całe pokolenia w Polsce walczyły, nie pozbawia dziadka racjonalnego myślenia. To jest osoba, która żyje w tym, uczestniczy w tym, ale nie daje się zawirować na wiele negatywnych elementów, powstających w czasie tego wszystkiego. Każda rewolucja, każde drastyczne zmiany, nie mogą się obyć bez takich, czy innych uszczerbków. Ojciec zdawał sobie sprawę, że nie wszystko złoto, co się świeci. I zaangażowanie dziadka, czyli uczestnictwo w całym ruchu Solidarności, pomimo że był to ruch wspaniały, było w pewnym wymiarze ograniczone, wynikało z tego, że wiele osób, które go chciały zaprosić do działalności, były to osoby dwulicowe, które wcześniej uczestniczyły w funkcjonowaniu tego złego systemu, a z drugiej strony chciały uczestniczyć w nowym systemie, jako ci naprawiający, po prostu byli zakłamanymi. Ojciec nie dał się przerobić. Była to osoba cały czas myśląca i analizująca. Mało która osoba miała jakiś wpływ na zmianę poglądów dziadka. Dziadek był jedną ręką i obiema nogami za tym wszystkim, co się działo, ale trzeźwo zdawał sobie sprawę, że za tym wszystkim dobrem, które idzie, idzie strasznie dużo zła.*

W okresie działania „Solidarności”, Zbigniew Gregorowicz nie był już młodym człowiekiem, w przeciwieństwie do wielu jej mocno zaangażowanych działaczy. Bardzo prawdopodobne, że gdyby był kawalerem, pełnosprawnym mężczyzną w wieku 25 czy 30 lat, jego postępowanie byłoby inne. Angażował się on jednak jak tylko mógł w swojej sytuacji i będąc odpowiedzialnym w stosunku do innych – studentów, żony i dzieci. Starał się wystrzegać wszelkich elementów na pokaz, a na swoim odcinku działania robił wszystko, aby doszło do pożądaných zmian politycznych.

Mógł pójść do więzienia, ale wtedy nie byłby z rodziną. Byłby w więzieniu - nie miałby kontaktów ze studentami, byłby internowany – nie miałby kontaktu ze swoim środowiskiem naukowym – opowiada Marek Gregorowicz.

W czasie stanu wojennego, w 1982 roku, na Wydziale Chemicznym Politechniki Śląskiej działała Komisja Wydziałowa, powołana w sprawie przeglądu i oceny działań nauczycieli akademickich. Wiele osób – na przykład dr Ewa Bobrowska – Grzesik czy dr Krzysztof Gosiewski – zarzuca Zbigniewowi Gregorowiczowi działalność na niekorzyść pracowników. W

⁴⁹ załącznik IX

⁵⁰ Front Jedności Narodowej była to organizacja obejmująca związki zawodowe i partie polityczne podporządkowane PZPR, zaangażowana w wyborach do sejmu i rad narodowych.

swoim artykule „Odnowiciele”⁵¹, wydrukowanym w 9 numerze pisma śląsko – dąbrowskiej „Solidarność” - ABC, z dnia 31 maja 1990 roku, dr Krzysztof Gosiewski pisze: *W 1982 r. aktywnie działa [Zbigniew Gregorowicz] w Wydziałowej Komisji Weryfikacyjnej, która wręczyła wypowiedzenie z pracy 17 osobom, członkom „S”⁵². O nadgorliwości weryfikanta niechaj świadczy to, iż minister szkolnictwa wyższego cofnął wypowiedzenie aż 11 osobom z tej grupy.*

Również dr Ewa Bobrowska – Grzesik wspomina: *Nie wybronił pracowników zwolnionych w stanie wojennym ze względów politycznych. Nie ujął się za nimi, a powinien.*

Niemniej jednak mogę śmiało powiedzieć, że głosy te są nieprawdziwe, o czym świadczą materiały zebrane przez adwokata Zbigniewa Gregorowicza, Jana Panka. Dowiódł on, że bohater mojej pracy nie należał do owej Komisji, a jedynie był opiniodawcą. W odpowiedzi na jego pismo wystosowane do ówczesnego rektora Politechniki, 8 października 1990 roku, rektor, Tadeusz Chmielniak pisze: *Prof. dr hab. Zbigniew Gregorowicz nie był członkiem Wydziałowej Komisji ds. Oceny Kadry Nauczycieli Akademickich, jaka funkcjonowała w roku 1982 na Wydziale Chemicznym. Prof. Z. Gregorowicz był wówczas (i pełni tę funkcję nadal) dyrektorem Instytutu Chemii Analitycznej i Ogólnej.*

Było to tylko jedno z wielu bezpodstawnych oskarżeń. Artykuł „Odnowiciele” został napisany z następującą myślą przewodnią, przedstawioną w nagłówku: *Ludzie, którzy jeszcze wczoraj byli mocno uwikłani w stare struktury polityczne i związane z nimi układy personalne, dziś – jak gdyby nigdy nic – meldują się w pierwszym szeregu odnowicieli. Wprawdzie nie możemy nikomu odmawiać prawa do nagłej zmiany poglądów, ani aktywnego udziału w życiu publicznym, tym niemniej dla siebie rezerwujemy prawo do informowania opinii publicznej o curriculum vitae tychże osób. Każdy z osobna będzie miał wtedy możliwość oceny wiarygodności „odnowicieli”.*

Kolejne oskarżenie, jakie padło w owym artykule brzmiało następująco: *W latach 1945-48 członek, a przez pewien czas nawet dowódca Milicji Akademickiej przy Politechnice Śląskiej; organizacja ta, zasadniczo o charakterze obronnym, dość ściśle współpracowała z MO i Urzędem Bezpieczeństwa.*

Jak już zostało to potwierdzone w poprzednim rozdziale, jest to niezgodne z prawdą, gdyż Milicja Akademicka nie podlegała bezpośrednio żadnemu z organów władzy ludowej, a jedynie rektorowi Politechniki Śląskiej, co potwierdza w swoim piśmie do adwokata Jana Panka, rektor Tadeusz Chmielniak: *Milicja Akademicka powołana została do życia w sierpniu 1945 roku, jako jednostka organizacyjna uczelni, podległa Rektorowi Politechniki Śląskiej. Członkowie Milicji Akademickiej rekrutowali się spośród studentów Politechniki Śląskiej. Jednostka miała charakter kompanii wartowniczej, której zadaniem było strzeżenie mienia uczelni oraz ochrona studentów i pracowników.*

Kolejnym nieprawdziwym stwierdzeniem jest fakt, iż Zbigniew Gregorowicz asekuracyjnie przystąpił do NSZZ „Solidarność” w 1982 roku. Bohater mojej pracy uczynił to już dwa lata wcześniej, jeszcze przed zarejestrowaniem i zalegalizowaniem tego związku, a jego aktywność w

⁵¹ załącznik X

⁵² NSZZ „Solidarność”

organizacji nie wynikała z karierowiczostwa, tylko z przekonania o działaniu w słusznej sprawie.

Publikacja ta wywołała oburzenie rodziny, współpracowników i całego środowiska, które dobrze znało osobę profesora.

Po przeczytaniu tego pełnego nieprawdziwych informacji artykułu, 7 czerwca 1990 roku, szwagier Zbigniewa Gregorowicza, profesor katowickiej Akademii Muzycznej - Andrzej Schmidt, wystosował emocjonalne, odważne pismo do redakcji ABC, które bardzo dobrze obrazowało poruszenie najbliższych profesora, dotkniętych tą oszczerczą publikacją:

Panowie, trafiliście jak kula w płot. Obiektem zjadliwego artykułiku „Odnowiciele” stał się Człowiek wyjątkowy, bohater powstania warszawskiego i w tymże powstaniu okaleczali. Przypisaliście mu czyny, których nie popełnił i postawy, które były mu obce, a to jest oczernienie i pomówienie. Dziwiłbym się gdyby to panom uszło na sucho, ale to już nie moja sprawa. Jako człowiek i obywatel muszę jednak zaapelować do Waszego, mam nadzieję aktywnego sumienia.

Znam p. Gregorowicza od dość dawna. Nigdy nie frymarczył przekonaniem i nikogo nie skrzywdził czynem ani słowem. W 1968 roku studenci mieli w nim powiernika i obrońcę, bodajże jedyne, a w każdym razie jednego z niewielu. Nie był prominentem i nie chciał nim być. Wszystko osiągnął pracą, zdolnościami i wytrwałością. Spróbowalibyście zrobić studia techniczne bez prawej ręki! Jest dziś naukowcem znanym i publikowanym w, o ile wiem, wielu fachowych periodykach na świecie. Nie był w żadnej Komisji Weryfikacyjnej stanu wojennego, a wszystkie opinie, jakie na żądanie tej komisji wystawiał, były pozytywne.

Takiego człowieka osmarować! Czy to jest dziennikarstwo? Czy to ma być rozliczanie? Na miłość Boską, słoń w składzie z porcelaną to słabe porównanie, bo porcelaną można nabyć, ale przywrócić komuś dobre imię żadnym sprostowaniem się nie da. Jaki diabeł Wam to podsunął: taki ładunek jadu? Czemu nie sprawdzacie swych informatorów?

Jeżeli cywilne zgnojenie wartościowego człowieka mało Panów obchodzi, to może obejdzie was wiarygodność pisma, które czytam, jak wielu mych znajomych.

Mam nadzieję, że to moje pismo otrzeźwi, a nie zaciętrzewi. To już kwestia dobrej woli i sumienia.

Oburzenie nie dotyczyło jednak tylko najbliższego środowiska profesora. W Trybunie Śląskiej, w numerze z dnia 18 kwietnia 1991 roku, w rubryce „Śląska, słucham...”⁵³, zamieszczono dotyczącą całej sprawy wypowiedź mieszkańca Gliwic, byłego studenta Zbigniewa Gregorowicza, Jana Pałasza: *Jestem oburzony pomówieniami red. K. Gosiewskiego w stosunku do prof. Z. Gregorowicza, przedstawionymi w piśmie „S” – „ABC”. O całej tej przykrej sprawie dowiedziałem się zresztą dopiero z publikacji „TŚl”⁵⁴. W latach 60. byłem studentem prof. Gregorowicza. Do dziś pamiętam jego wspaniałe przemówienie do studentów w trudnym 1968 roku. Był to majstersztyk, którym zjednał sobie wielu sympatyków wśród braci żakowskiej, a jednocześnie przysporzył sobie wielu wrogów wśród ówczesnych prominentów. Red. Gosiewski, niestety, nie zadał sobie trudu by wyjaśnić, co to była Milicja Akademicka w latach 40. Jeśli prof. Gregorowicz korzystał nawet - jak sugeruje publicysta „ABC” – z przywilejów nadanych przez władzę „ludową”, to,*

⁵³ załącznik XI

⁵⁴ Trybuna Śląska

moim zdaniem, zupełnie zasłużenie. Był bowiem żołnierzem AK i wyjątkowej klasy dydaktykiem.

Chciałabym tutaj nadmienić, że owe przywileje – na przykład uzyskanie talonu na samochód – Zbigniew Gregorowicz otrzymał jako inwalida wojenny, w celu ułatwienia pracy zawodowej i współpracy z przemysłem, a nie jako prominent władzy ludowej.

Zbigniew Gregorowicz wniósł przeciwko dr Krzysztofowi Gosiewskiemu pozew do sądu. Rozprawa odbyła się w Sądzie Wojewódzkim w Katowicach, o czym pisze Gazeta Katowicka, nr 89, z 16 kwietnia 1991 roku⁵⁵. Ze strony ABC padła propozycja ugody, a redaktor Gosiewski wyraził się w następujący sposób: *„Nie mogę przystać na odwołanie całego tekstu, bo w ten sposób prof. Gregorowicz zbiłby polityczny kapitał.”* Strony w końcu zgodziły się na kompromis, a sędzina zredagowała tekst sprostowania, które, wraz z przeprosinami, miało być umieszczone na łamach prasy.

Redaktorzy ABC przeprosili za zniesławienie⁵⁶: *„Świadomi popełnionych przez redakcję błędów i ich daleko idących i trudnych do oceny konsekwencji, za wyrządzoną krzywdę przepraszamy.”*

Dziś, moja mama, Małgorzata Gregorowicz wspomina, że całe to wydarzenie bardzo zabolowało mojego dziadka. *Co jak co, ale ja uważam, że na pewno o dziadku nie można powiedzieć, że był człowiekiem interesownym. To, co było tam napisane, było niezgodne z prawdą i mocno dla niego krzywdzące. Bardzo mocno to przeżył, dlatego też zdecydował się na rozstrzygnięcie tego sądownie. Sąd nakazał przeprosić na łamach tej samej prasy, co nastąpiło małym druczkiem na końcu strony, a nie na pierwszej szpalcie. I jakąś tam karę, chyba dość symboliczną, którą oczywiście przekazał na cele charytatywne, chyba na Dom Dziecka w Gliwicach.*

Pomimo tych wydarzeń, będąc już starszym człowiekiem, Zbigniew Gregorowicz dalej angażował się w życie polityczne, tym razem już nie PRL-u, a III Rzeczypospolitej. W 1993 roku kandydował do senatu. *Był taki moment, w którym startował na senatora, to było też w tych latach działającej dobrze Solidarności, to też startował jako kandydat niezależny – wspomina Małgorzata Gregorowicz.* Pomimo zmiany ustroju, Zbigniew Gregorowicz dalej chciał pozostać bezpartyjnym i niezależnym od żadnego ugrupowania. Nie kandydował nawet z list „Solidarności”, do której należał.

Dodatkowo w latach 90 – tych, Zbigniew Gregorowicz aktywnie włączył się w życie organizacji: Ogólnokrajowego Związku byłych Żołnierzy Konspiracyjnego Wojska Polskiego⁵⁷ oraz, od lutego 1990 roku, Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej⁵⁸, w którym, w latach 1992 – 1995, był Prezesem Okręgu Śląskiego.

Według mnie dziadek, we wszystkim, co w swoim życiu robił, bez względu na dziedzinę, w której działał – czy była to nauka, czy jakaś działalność społeczna, czy polityka, kierował się zawsze własnymi zasadami. Niezależnie od tego, co się działo wokół - sytuacji politycznej, ustroju, ucisku władz

⁵⁵ załącznik XII

⁵⁶ załącznik XIII

⁵⁷ załącznik XIV

⁵⁸ załącznik XV

uczelni, czy ówczesnych władz państwa, starał się żyć tak, żeby być wiernym własnym przekonaniom i ideom.



ZBIGNIEW GREGOROWICZ, JAKO PRZEDSTAWICIEL ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ – FOTOGRAFIA ZE ZBIORÓW RODZINNYCH

VI

Jako człowiek

„Wówczas dopiero będziemy szczęśliwi, kiedy
uświadomimy sobie swoją rolę, choćby najskromniejszą.
Wówczas dopiero będziemy mogli żyć w spokoju i umrzeć w
spokoju, gdyż to, co daje sens życiu, daje także sens śmierci”
Antoine de Saint – Exupery

W tej części pracy, chciałabym przedstawić, w jaki sposób Zbigniew Gregorowicz radził sobie ze swoim inwalidztwem w życiu codziennym.

Najcięższe były dla niego chwile zaraz po wojnie – nie mógł sobie poradzić z tym, że w tak młodym wieku stał się inwalidą, zależnym od innych. Miał nawet myśli samobójcze i problemy z bólami fantomowymi. Szybko jednak nauczył się radzić z codziennymi czynnościami.

Mój dziadek nie miał ludzi obojętnych sobie. Kiedy dziś słucham opowieści na jego temat, spotykam się z opiniami entuzjastycznymi, wyrażanymi przez osoby, które darzyły go wielkim szacunkiem. Wiele jest jednak osób, które niechętnie wypowiadają się na jego temat.

Przytaczając wypowiedzi kilku osób chciałabym przedstawić postać Zbigniewa Gregorowicza od strony prywatnej.

Był człowiekiem ekspresyjnym i otwartym. Jak miał coś do człowieka, mówił otwartym tekstem, nie bawił się w jakieś niedopowiedzane uśmieszki, zawsze znajdował czas – wspomina dr Danuta Matysek – Majewska - Świetnie radził sobie z kalectwem. Na przykład, kiedy prowadził auto - radził sobie świetnie. Kierował czasem jak wyjeżdżaliśmy służbowo. Musiał mieć pewne problemy i dolegliwości, ale nigdy się nie uskarżał. Zawsze go podziwialiśmy za to, ile musiał w swoim życiu przelamać własnych barier.

Moja mama, Małgorzata Gregorowicz, opowiada, jak Zbigniew Gregorowicz radził sobie z inwalidztwem: *Walczył strasznie z tym swoim kalectwem. Generalnie rzecz biorąc był samodzielny w 99%. Było bardzo niewiele czynności, których nie potrafił robić. Raz kiedyś pamiętam nawet, babcia wyjechała do cioci Hani, do Algerii, dziadek był sam i przyszedł tam kiedyś do niego do domu i chciałam mu w czymś pomóc i zastałam go w kuchni obierającego ziemniaka jedną ręką, nożykiem takim malutkim. Nie potrafił praktycznie zrobić jednej rzeczy – zapiąć sobie zegarka. Golił się sam, wszystkie czynności przy sobie robił sam. Uparł się, żeby zrobić to prawo jazdy, co też było udowodnieniem wszystkim i sobie, przede wszystkim sobie chyba, że on potrafi, że potrafi zrobić wszystko, co normalny, sprawny i mający dwie ręce człowiek.*

Zawsze starał się żyć bardzo samodzielnie, nie obarczając ludzi, którzy go otaczali, swoim kalectwem. Bardzo chętnie na przykład się witał, co ludzi witających się wprowadzało w zakłopotanie. Ja pamiętam jak na początku, jak poznała dziadka, szokowało mnie to, że on do każdego wyciągał rękę i z każdym się witał. I takim był człowiekiem. Nie wiadomo było, którą rękę wyciągnąć do niego.

Powinno się przywitać prawą, ale ona jakby nie pasowała do gestu powitalnego, w związku z tym często ludzie wyciągali lewą rękę. Do tej pory wspominają wszyscy, że jak szedł korytarzem przez katedrę, to witał się począwszy od portiera, poprzez sprzątaczkę po drodze, każdego zapytał, co słychać...

Był osobą z dużą charyzmą – dodaje Małgorzata Gregorowicz - moje pierwsze wrażenie – bałam się go okropnie. Był człowiekiem bardzo ruchliwym, dużo mówił, był bezpośredni, z każdym potrafił znaleźć wspólny język. Miał oschłą powierzchowność, ale był człowiekiem bardzo ludzkim i wrażliwym na ludzką krzywdę.

Ciężko go było przekonać do czegokolwiek. Jeżeli miał wyrobione zdanie na jakiś temat, to potrafił go tak zaciekle bronić. Był nieprzejednany, nie raz nie trafiały do niego argumenty, ale też potrafił konsekwentnie dążyć do celu. Dla mnie był on

człowiekiem przede wszystkim mocno nietuzinkowym. Na pewno był człowiekiem trudnym. Był uparty i dlatego miał też wielu wrogów.

Syn Zbigniewa Gregorowicza, Marek, opowiada: *Ojciec był twardej natury człowiekiem. Brak prawej ręki mógł powodować trudność z zawiązaniem krawata, z zawiązaniem sznurówek, z ubraniem marynarki, z zapięciem guzików w koszuli, ale nie było żadnej różnicy w temacie związanym z jego inwalidztwem, jeżeli chodziło o męża, opiekuna, no i człowieka, który wiązał jakieś perspektywy z uczelnią. To było świadectwo, że nie robiło to na nim specjalnego wrażenia.*

W rozmowie z siostrą bohatera mojej pracy, Jadwigą Strączek usłyszałam słowa, którym towarzyszyło wielkie przekonanie, i które bardzo utkwiły mi w pamięci: *Ktokolwiek na niego cokolwiek powie – nigdy w to nie uwierz. To był tak człowiek prawy i tak uczciwy i tyle od siebie wymagał, a był takim patriotą jak jego ojciec.*

Dla mnie dziadek był osobą, którą darzyłam wielkim szacunkiem i respektem. Podziwiałam go bardzo za to, że będąc inwalidą był tak dalece samodzielny. Pamiętam nawet, że potrafił sam tasować karty, a ja pomagałam mu tylko zapinać guziki przy mankietach.

To właśnie on zaszczepił we mnie zainteresowanie historią i szacunek do niej. Myślę, że duży wpływ na to miały jego opowieści i wspomnienia. Pamiętam też, że to on kupował mi moje pierwsze książki o tematyce historycznej.

Jako starszy człowiek, Zbigniew Gregorowicz ciężko zachorował – rozpoznano u niego nowotwór złośliwy. Mimo to nie poddał się chorobie, walczył z nią przez kilka lat, przeszedł pięć operacji, ale pozostał do końca życia, człowiekiem bardzo aktywnym.

Dziadek w momencie, kiedy poszedł na emeryturę, zaczął się bardzo mocno udzielać w środowiskach kombatanckich i to się stało dla niego takim idee fix. Potem, jak już rozchorował się, był po kilku operacjach, już był mocno osłabiony, to ta jego żywotność w postaci jeżdżenia w jeden dzień na mszę polową do Warszawy, a w drugi do Szczecina, do podzielenia się opłatkiem z jakimś tam środowiskiem, czy właśnie te różnego typu spotkania – z młodzieżą w szkole, w jednostkach wojskowych, gdzie się tylko dało praktycznie – wspomina Małgorzata Gregorowicz.

Bo długiej walce z chorobą, Zbigniew Gregorowicz zmarł w dniu swoich 75 urodzin, 4 stycznia 1999 roku.

Zbigniew Gregorowicz otrzymał szereg odznaczeń wojskowych, z czego najważniejsze to: Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Medal Wojska (trzykrotnie)⁵⁹, Krzyż Partyzancki⁶⁰, Warszawski Krzyż Powstańczy⁶¹, Krzyż

⁵⁹ Medal przyznawany przez Prezydenta RP na Uchodźstwie żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych, za czyny dokonane w czasie II wojny światowej. Nadany 15 sierpnia 1948 roku, przez władze w Londynie, nr 43261

⁶⁰ Odznaczenie przyznawane przez Ministra Obrony Narodowej osobom walczącym w oddziałach partyzanckich w czasie II wojny światowej. Nadany 31 sierpnia 1968 roku, przez władze w Warszawie, nr Ł-20271, załącznik XVI

⁶¹ Odznaczenie nadawane osobom, które brały czynny udział w powstaniu warszawskim. Nadany 15 grudnia 1982 roku, przez władze w Warszawie, nr 96-82-26 K

Armii Krajowej⁶², Srebrny Krzyż *Virtuti Militari* V klasy⁶³ oraz Srebrny Medal za Zasługi dla Obronności Kraju⁶⁴.

Wyrazem uznania dla jego działalności społecznej jest również wysokie odznaczenie cywilne, jakie otrzymał za pracę nad utrzymaniem polskości na Wileńszczyźnie, spotkania i prelekcje dla młodzieży szkół polskich i wypowiedzi do dorosłego społeczeństwa: Krzyż Komandorski i Oficerski Orderu Odrodzenia Polski⁶⁵. Został on także uhonorowany Komandorią I Stopnia Orderu Świętego Stanisława z Gwiazdą⁶⁶ oraz Komandorią I Stopnia Orderu Świętego Łazarza z Jerozolimy z Gwiazdą.

⁶² Odznaczenie przyznawane członkom Armii Krajowej i organizacji ją poprzedzających (SZP i ZWZ). Nadany 11 maja 1988 roku, przez władze w Londynie, nr 40929

⁶³ Najwyższe polskie odznaczenie wojskowe, nadawany za wybitne zasługi bojowe, w przypadku Zbigniewa Gregorowicza – za działalność w organizacji Orląt Warszawskich. Nadany 11 listopada 1988 roku przez władze w Londynie, nr 243/88/A, załącznik XVII

⁶⁴ Medal przyznawany przez Ministra Obrony Narodowej osobom, które swoją pracą lub działalnością przyczyniły się do rozwoju i umocnienia obronności kraju. Nadany 5 września 1991 roku, przez władze w Warszawie, nr S 3883, załącznik XVIII

⁶⁵ Jedno z najwyższych polskich odznaczeń cywilnych. Nadany 11 listopada 1988 roku, przez władze w Londynie, nr 677/88/A, załącznik XIX

⁶⁶ Nadany przez V Wielkiego Mistrza Kapituły Orderu Św. Stanisława, Zbigniewa Kazimierza Dworaka, 8 maja 1997 roku, nr 009, załącznik XX

PODSUMOWANIE

Temat tegorocznego konkursu – „Niepokorni w XX wieku” od razu przywiódł mi na myśl postać mojego dziadka. Uważam, że przeszedł on przez całe swoje życie bardzo odważnie, napotykając po drodze wiele przeciwności, które udało mu się pokonać.

Mam nadzieję, że wydarzenia z jego życia, które wybrałam i opisałam w kolejnych rozdziałach swojej pracy, dobrze obrazują jego niepokorność.

Przejawiała się ona w różnorodny sposób, zależnie od wieku bohatera pracy oraz zmieniającej się sytuacji społeczno – politycznej w kraju.

Pierwszym takim momentem było, brutalnie przerwane przez wojnę, dzieciństwo Zbigniewa Gregorowicza. Mimo swego młodego wieku, wyraził on gotowość do obrony swojej małej ojczyzny, jaką było Grodno. W czasie wojny obronnej, we wrześniu 1939 roku, pełnił służbę, jako harcerz.

Następnie, mieszkając w okupowanej Warszawie, pędził wraz z rodziną ciężkie okupacyjne życie. Zarabiał pracując na dworcu kolejowym. Pomimo trudnej sytuacji materialnej rodziny i śmierci ojca, podjął on naukę na warszawskich tajnych kompletach oraz w podchorążówce, a tym samym zaangażował się w życie Polskiego Państwa Podziemnego i bezpośrednią działalność przeciwko niemieckiemu okupantowi.

Zbigniew Gregorowicz brał udział w powstaniu warszawskim, które stało się symbolem rozpaczliwej walki Polaków o wolność i niezależność od okupantów. Był bardzo zaangażowany w działania militarne – najpierw na Pradze, a następnie w Puszczy Kampinoskiej. W trakcie powstania został postrzelony, w wyniku czego stracił prawą rękę.

Kolejny dowód niezłomności swojego charakteru dał zaraz po zakończeniu wojny, kiedy to zdecydował się na podjęcie trudnego kierunku studiów technicznych, będąc inwalidą. Dzięki wielkiemu samozaparciu i ciężkiej pracy, nie tylko udało mu się je ukończyć, ale także zrobić błyskotliwą karierę naukową, w której nie przeszkodziło mu ani inwalidztwo, ani bezpartyjność.

Bardzo istotnym jest fakt, że Zbigniew Gregorowicz nie zgadzał się z nową sytuacją polityczną i pozostawał niezależny od władzy ludowej, mimo że obejmując kierownicze stanowiska, musiał się z nią bezpośrednio stykać.

Będąc komendantem Milicji Akademickiej, był świadom, że w jej szeregach znajdują się żołnierze Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Mimo że nigdy nie zaangażował się mocniej w działalność owej organizacji, ochraniał jej członków jak tylko mógł.

W 1953 roku, Zbigniew Gregorowicz został oskarżony o współpracę z Zachodem i osadzony w więzieniu. Wydarzenie miało to moim zdaniem ścisły związek ze wzrostem represji w stosunku do byłych działaczy Podziemia w okresie stalinizmu, jaki panował w Polsce w latach 50-tych.

Bohater tej pracy miał również swoje przemówienie w czasie „buntu inteligenckiego” 1968 roku, dzięki któremu w dużym stopniu udało mu się

uchronić rzesze studentów Politechniki Śląskiej od represji. W różny sposób angażował się w działalność na rzecz młodzieży.

Cały czas starał się aktywnie brać udział w życiu politycznym kraju, ale tylko w przypadkach, kiedy mógł to robić pozostając niezależnym od władzy ludowej.

Myślę, że mój dziadek na pewno nie był konformistą. Często otwarcie występował przeciwko jakiejś sprawie, czasem „stawał bokiem”, ale nigdy nie godził się na coś, na co moralnie nie przystawał.

Dzięki swojej zaciętości, swoim życiem udowodnił, że nawet bez ręki, potrafił obracać się w różnych środowiskach, jako człowiek nie tylko równy innym, przeciętny, ale wybitny w wielu dziedzinach.

W trakcie ostatniej, przed śmiercią, rozmowy z moją mamą, dziadek powiedział: „Przeżyłem swoje życie, jak chciałem”. Myślę, że nie ma wielu osób, które mogą z takim przekonaniem podsumować swoje życie i dokonania.

Moja praca opisuje człowieka wartościowego i nietuzinkowego, walczącego kolejno wbrew okupacji radzieckiej i niemieckiej, władzy ludowej, a także ze swoim kalectwem.

WYKAZ ŹRÓDEŁ

1. Relacje świadków:

⇒ **Bobrowska – Grzesik Ewa**

Doktorantka Zbigniewa Gregorowicza, ur. 02.04.1946 r.
Przeprowadzone rozmowy:
24.11.2006

⇒ **Gregorowicz Małgorzata**

Synowa Zbigniewa Gregorowicza, ur. 10.04.1961 r.
Przeprowadzone rozmowy:
20.11.2006
10.01.2007

⇒ **Gregorowicz Marek**

Syn Zbigniewa Gregorowicza, ur. 24.05.1957 r.
Przeprowadzone rozmowy:
20.11.2006

⇒ **Kot Barbara**

Doktorantka Zbigniewa Gregorowicza, ur. 26.10.1948 r.
Przeprowadzone rozmowy:
24.11.2006

⇒ **Matysek – Majewska Danuta**

Doktorantka Zbigniewa Gregorowicza, ur. 26.10.1949 r.
Przeprowadzone rozmowy:
24.11.2006

⇒ **Strączek Jadwiga**

Siostra Zbigniewa Gregorowicza
Przeprowadzone rozmowy:
10.12.2006
14.12.2006

⇒ **Wolna Łucja**

Przedstawicielka Hufca Gliwickiego
Przeprowadzone rozmowy:
26.10.2006
28.10.2006

2. Wspomnienia pisane:

⇒ **Baranowska Irena**

Wspomnienie napisane krótko po śmierci Zbigniewa Gregorowicza -
<http://www.gliwice.polsl.chemia.pl>

⇒ Gregorowicz Zbigniew

Wspomnienia niepublikowane ze zbiorów rodzinnych, przeznaczone do publikacji (niepublikowane) lub częściowo opublikowane w Zeszytach Historycznych Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – Oddziału Gliwice. Wszystkie wspomnienia były napisane w formie retrospektywnej.

⇒ Szmyd – Darlewska Krystyna

Wspomnienia ze zbiorów Politechniki Śląskiej. Częściowo opublikowane w Biuletynie „Życia Politechniki Śląskiej”, listopad 2003 r.

3. Inne źródła:

⇒ List Stefani Gregorowicz do Janiny Mondalskiej, 08.01.1943 r.

⇒ Zarządzenie o powstaniu Milicji Akademickiej, 10.08.1945 r.

⇒ Notatka autorstwa Zbigniewa Gregorowicza, dotycząca Milicji Akademickiej, 06.01.1969 r.

⇒ Notatka autorstwa Zbigniewa Gregorowicza, w sprawie działalności Związku Harcerstwa Polskiego na Politechnice Śląskiej, 06.01.1969 r.

⇒ List Andrzeja Schmidta do redakcji ABC, 07.06.1990 r.

⇒ Pismo skierowane przez adwokata Zbigniewa Gregorowicza, Jana Panka, do Rektora Politechniki Śląskiej – prof. Tadeusza Chmielniaka, 08.10.1990 r.

⇒ Życiorys Zbigniewa Gregorowicza dla Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, 25.05.1993 r.

⇒ Biuletyn szkolny Szkoły Podstawowej nr 36 w Gliwicach, 1998 r.

⇒ Fotografie ze zbiorów rodzinnych.

BIBLIOGRAFIA

1. Adolf Pilch, „Partyzanci trzech puszczy”, wyd. Editions Spotkania 1992 r.
2. Jan Siemiński, „Grodno walczące”, wyd. Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, Oddział Białostocki, Białystok 1992 r.
3. Jan Mieczysław Ciechanowski, „Powstanie warszawskie”, wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1984 r.
4. Gazeta Katowicka, nr 89, 16.04.1991 r.
5. Gazeta Katowicka, 13.05.1991 r.
6. Pismo śląsko – dąbrowskiej „Solidarności” – ABC, nr 9, 31.05.1990 r.
7. Trybuna Śląska, 18.04.1991 r.

8. Czasopismo Polskiego Towarzystwa Chemicznego – Orbital, nr 5, Warszawa, wrzesień – październik 1999 r.
9. Biuletyn – Z życia Politechniki Śląskiej, listopad 2003 r.
10. Biuletyn Szkoły Podstawowej nr 36 w Gliwicach, 1998 r.

STRONY INTERNETOWE

1. <http://www.bohosiewicz.com>
2. <http://www.gliwice.polsl.chemia.pl>
3. <http://www.wikipedia.pl>